Stron 12

Cena 25 zł.

Opłata pocztowa uiszczona ryczałtem

BIBLIOTEKA INSTYTUTU SŁOWIOZNAWSTWA W GDAŃSKU

Wieś

TYGODNIK SPOŁECZNO-LITERACKI

Rok VI | Łódź, 17 lipca 1949 r. | Nr 29 (208)

Uniwersytetu Gdańskiego Biblioteka

CW 9037

W NUMERZE
między innymi:

W. Chlebnikow, I. Muchaczew, L. Kondyriew — wiersze.
M. Janion — Wychowanie przez książkę.
T. Orlewicz — Arsenał wojenny imperializmu.
J. Roszczewski — Wielkie rewolucyjne życie.
M. Żmigrodzka — Spojrzenie na wojnę.
St. Marczak-Oborski — Świetlice czekają na teatr.
S. Treugutt — Mickiewicz inscenizowany.
H. Syska — Gdy lud się budzi.
M. Przybylski — W miasteczku górniczym (fragm. opowiadania).
W. Blachut — Chłopska emigracja w Ameryce.
W. Jedlicki — Sprawy religii i polityki.

Wiesław Jażdżyński

CHODZI O PRZYSZŁOŚĆ

Mamy dziś w Polsce niemałą liczbę pism obsługujących wiejski odcinek społeczno-gospodarczego, politycznego i kulturalnego życia. Są to pisma masowe, zarówno ze względu na czytelnika jak i nakład. „Chłopska Droga", „Gromada", „Chłopi", „Rolnik Polski", czy „Nowa Wieś" osiągają niespotykane dotąd nakłady. Są to równocześnie pisma, które z racji pełnionej funkcji społeczno-wychowawczej opierają się o duże zespoły terenowych pisarzy-korespondentów.

Sprawa korespondencji do pism obsługujących problematykę wiejską nie jest nowa. „Listy ze wsi" pisywali Słomka i Magryś, Bojko i Witos, pisywali zaraniarze i kilka pokoleń działaczy wiciowych. Nowe są natomiast zadania stojące przed tym rodzajem pisarstwa. Dzisiejszy korespondent terenowy musi wypełniać inną funkcję pisarską niż jego starszy kolega z międzywojennych i jeszcze wcześniejszych lat. W tamtych latach grzęzła wieś coraz bardziej w kapitalizm, coraz silniej wikłała się w sytuacji bez wyjścia. Dziś obserwujemy wieś wychodzącą z kapitalizmu, a więc proces wprost przeciwny.

Odnotowanie problematyki wsi wychodzącej z kapitalizmu ku socjalizmowi wymaga od korespondenta terenowego nowej postawy społecznej, a więc i pisarskiej.

Przy dobieraniu zespołu terenowych współpracowników uderza pewien znamienny fakt. Pod uwagę brana jest w pierwszym rzędzie, zorganizowana młodzież. Doroczne zjazdy korespondentów „Chłopskiej Drogi", ostatnio konferencja zespołów pism Stronnictwa Ludowego — stawiają mocno zagadnienie włączenia młodzieży w szeregi współpracowników pism ludowych masowego zasięgu i oddziaływania. Stanowisko słuszne. Młodzież wychowana już przez nowy ustrój najmniej powinna mieć oporów we właściwym jego rozumieniu. Mniej obciążona przeszłością niż jej poprzednicy, korespondenci pism ludowych, powinna reprezentować pożądaną w naszych warunkach postawę pisarską.

Zespół terenowych współpracowników „Nowej Wsi", pisma Związku Młodzieży Polskiej, stanowi w olbrzymiej większości młodzież. Wypowiedzi ankietowe współpracowników „Nowej Wsi" stanowią podstawę naszych rozważań.

Poprzez kilkaset stron zapisanych rękami uczącej się i działającej po wsiach i miasteczkach młodzieży — przewija się problem młodego korespondenta masowych pism ludowych. Młodzież bardzo chętnie wypowiada się w ankiecie nie tylko na temat warunków życia, ale charakteryzuje, mniej lub więcej wyraźnie — drogi dojścia do funkcji pisarskiej korespondenta terenowego, zapoznaje z treścią pisywanych artykułów i notatek, określa swe zainteresowania czytelnicze i snuje plany na przyszłość.

Stosunek do pracy pisarskiej młodego korespondenta, stopień odczucia społecznej roli terenowego pisarza-publicysty „pierwszego poziomu" — taki problem narzuca się mimo woli po przeczytaniu materiału zawartego w ankietach.

1. ...„LIRYCZNIE ROZCZULONE ŻYCIE"

„Ileż to razy pasąc krowy wsłuchiwałem się w życie zielonej przyrody, podziwiając jej lirycznie rozczulone życie. W wieczór wpatrywałem się w niebo, kiedy księżyc zachodził i krył swoją tarczę za pobliskim lasem; wtedy las cały był objęty pożarem, ognisty odblask mienił się w moich oczach. Jakież to było piękne życie na wsi i jest jeszcze teraz. Któż mógł by zaprzeczyć, że to wszystko nie jest piękne i wzruszające. Las, powietrze inne, atmosfera — to walory najczystsze na wsi niż w mieście!"

Tak zapewne wyobrażalibyśmy sobie fragment z pamiętnika sienkiewiczowskiego Janka-Muzykanta. Tymczasem cytujemy wyjątek z życiorysu 16-letniego ZMP-owca, syna drobnorolnego chłopa, pochodzącego z biedniackiej, robotniczo-chłopskiej wsi w olkuskim powiecie.

Autor cytowanej wypowiedzi nie wspomina ani słowem o swej działalności w ramach miejscowego koła ZMP. Zatem nie jako działacz społeczny stał się korespondentem „Nowej Wsi".

„Na tle tych rozważań nasunęła mi się myśl, żebym został korespondentem jakiegoś pisma chłopskiego". Droga do pozycji korespondenta prowadziła poprzez zamyślenia nad lirycznie rozczulonym życiem zielonej przyrody, piękniejszym na wsi niż w mieście. Syn biednego chłopa, posiadającego zaledwie 1 ha ziemi, długo zastanawiał się — jak pisze — nad wyborem podstawowego celu życia, ostatecznego zawodu i długo nie mógł się doszukać takiego celu, który zapewniłby mu zadowolenie osobiste. W rezultacie rozmyślań postanowił zostać poetą. Jego dotychczasowy dorobek poetycki stanowi poemat pt. „Wieś po wojnie" i około 600 niedrukowanych wierszy.

Prymitywnie naturalistyczna postawa zamyślonego ZMP-owca ma jednak poważne konsekwencje społeczne. Jak bowiem rozumie i wypełnia funkcję korespondenta? Zajmuje postawę suchego kronikarza odnotowującego święta i okolicznościowe uroczystości na terenie wsi. Interesują go fakty, a nie problemy, sprawy, które trzeba załatwić, trudności, które należy pokonać. Zachwyt nad pięknem przyrody oznaczą równocześnie, że w korespondencjach jest pominięta, a racze niedostrzeżona walka klasowa. Czytając tego typu korespondencje można by odnieść wrażenie, że na pięknej, roztopionej w blaskach zachodzącego słońca wsi, rzeczywistość społeczna przekształca się szybko i bez większych oporów.

Podobną postawę można dostrzec u niemałej grupy młodych korespondentów, choć przyczyny niedostrzegania walki klas są nieraz zupełnie inne.

„Korespondentem „Nowej Wsi" stałem się mimo woli. Napisałem do „Nowej Wsi" list z zapytaniem o pewne szkoły oficerskie i zarazem opisałem moją pracę na terenie ZMP" — czytamy w wypowiedzi gimnazjalisty z Niemodlina Opolskiego. Opis został wydrukowany, ale jego autor nie jest, jak dotąd, dobrym korespondentem.

Nie przesądzając bynajmniej dalszych jego możliwości rozwojowych, można jednak stwierdzić, że obecnie nie zdaje sobie jeszcze sprawy ze społecznej funkcji pisarza terenowego, skoro istotę korespondencji upatruje w sprawozdaniach z uroczystości i obchodów.

Dlaczego tak się dzieje, że spora grupa młodzieży nie rozumie właściwego pisarstwa terenowego?

„W jednym z numerów „Nowej Wsi" wyczytałem słowa Redakcji mówiącej, że każdy może zostać korespondentem, o ile będzie pisać do tej właśnie gazety".

Cytat dostatecznie wymowny. Wielu korespondentom wydawało się, że pisarz tetrenowy to nie jest **specjalna funkcja,** wymagająca starannego przygotowania, kształcenia wiedzy społecznej i pogłębiania świadomości klasowej, wymagająca nieustannej czujności, że wystarczy „w ogóle" pisać, aby stać się współpracownikiem młodzieżowego pisma o określonej problematyce społecznej.

Analiza zainteresowań kulturalnych omawianej grupy młodzieży stan ten potwierdza. Jeden z autorów ankiet pisze, że najbardziej podobają mu się książki Dickensa i F. Coopera, Gorkiego i Verne'a. Inny znowu przeczytał ostatnio „Popiół i diament" oraz Gołubiewa „Bolesława Chrobrego". „Obie te książki zachwyciły mnie". Podobnie pisze i o czasopismach: „Żeby mi się które z czasopism nie podobało, tego rzec nie mogę, gdyż uważam, że wszystkie czasopisma są mniej lub więcej pożyteczne". — Jest to stanowisko młodego ZMP-owca z terenu, co gorsza — bibliotekarza, który nie rozróżnia wartości społecznej ani książek, ani czasopism. Stanowisko — korespondenta, który — rzecz prosta — bardzo słabo rozróżnia interesy klasowe na wsi. A takiej postawy korespondentowi darować nie można.

Omawiana dotąd grupa korespondentów posiada jeszcze jedną wspólną cechę. Niewielu wspomina o swojej pracy na terenie koła ZMP. Mimo iż posiadają legitymacje członkowskie, są mało społecznie aktywni. Moment bardzo istotny, ponieważ okazuje się, że im bardziej aktywny w kole jest młody ZMP-owiec, tym szerzej określa, lepiej rozumie swoją funkcję pisarza terenowego.

Ale **działacze** bywają różni, różnie też wyobrażają sobie rolę i znaczenie korespondencji.

2. „COŚ UCZYNIŁ POLSCE NA JEJ POTĘGĘ?"

„Gdy tylko wejrzysz w jakąkolwiek księgę,
oblicz dokładnie przeszłość swego życia,
coś uczynił Polsce na jej potęgę?"

Pochylamy się nad przeszłością innej, mniej licznej niż poprzednia, grupy pisarzy - korespondentów. Są to już wyraźnie działacze społeczni. Ale działacze starsi, po trzydziestce, którzy do ZMP przyszli z dawnych, przedwojennych „Wici".

Autor cytowanego na wstępie wiersza pisze, że ciemna stodoła, obora lub strych były jego czytelnią, bibliotekę stanowiły gazety porzucone wzdłuż toru kolejowego. Niełatwy żywot. „Zgnębiony ciągłym niepowodzeniem staję do pracy organizacyjnej w Kole Młodzieży Wiejskiej „Wici", aby stłumić w sobie roztargnienie wśród zespołu miejscowej młodzieży, to, co mnie dręczyło, to, co mnie zabijało na duchu" Nie ze względu na obiektywne potrzeby społeczne, lecz ze względu na siebie wstąpił do dawnych „Wici". Jako pracownik „Wici", sekretarz Kółka Rolniczego, wyróżniał się „dobrym zestawieniem protokółów". Budziło to ogólny podziw wśród członków i dlatego polecono mu opracowanie komedii na przygotowywaną uroczystość z racji „święta łąk". Odtąd rozpoczynają się marzenia o wielkim pisarstwie, które trwają do dziś. Eks-wiciarz, obecnie kierownik świetlicy gromadzkiej prezes koła SL-u, członek koła ZSCh określa swoją postawę jako działacz społeczny... „podjąłem pracę społeczną, wpajając zasady moralności w miejscową młodzież wykazującą zanik prawdziwych zasad moralnych".

A więc stary ideał wychowawczy dawnych, tradycyjnych Wici! Nie moralność społeczna w ramach określonego ustroju, ale doskonałość moralna „w ogóle", historyczny wzór idealnej osobowości, zaczerpnięty ze wszystkich czasów i wszystkich środowisk. Logiczną konsekwencją jest postawa korespondenta, który powinien zwalczać ludzką opieszałość i „samowolę nieokiełznanych jednostek".

Niekonkretność postaw społecznych, brak ścisłego związku z bieżącą problematyką dzisiejszej wsi, wychodzącej z kapitalizmu, tłumaczy się właśnie przez „dokładne obliczenie przeszłości życia"...

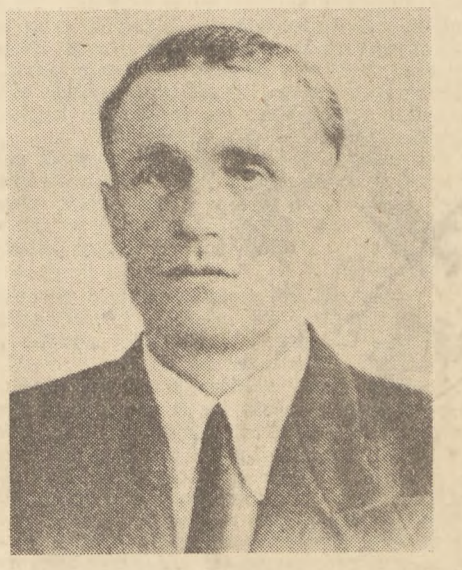

Bolesław Wojdat
(pow. Garwolin)

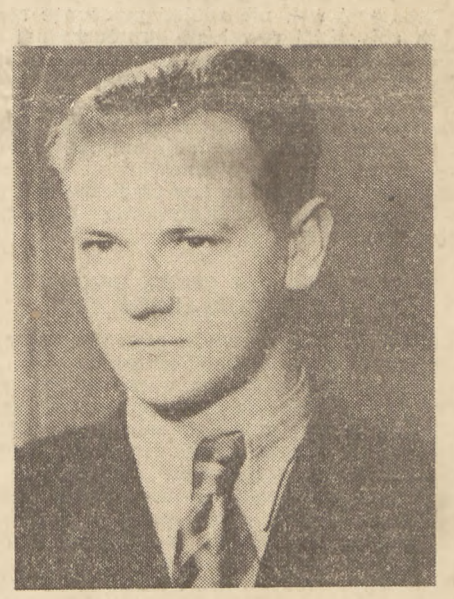

Julian Nadolski
(pow. Miechów)

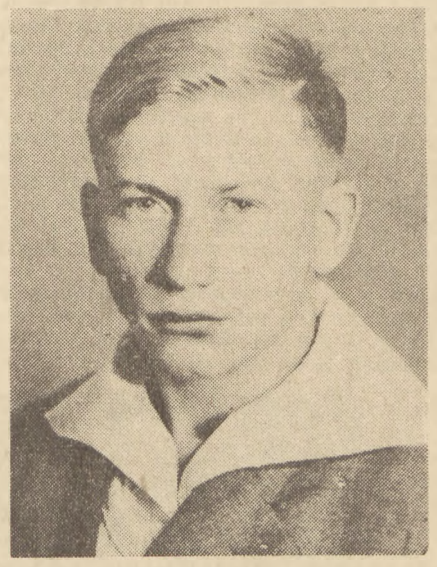

Walenty Garecki
(pow. Wieluń)

Dom rodzinny Włodzimierza Synola w Janikowicach
(pow. Miechów)

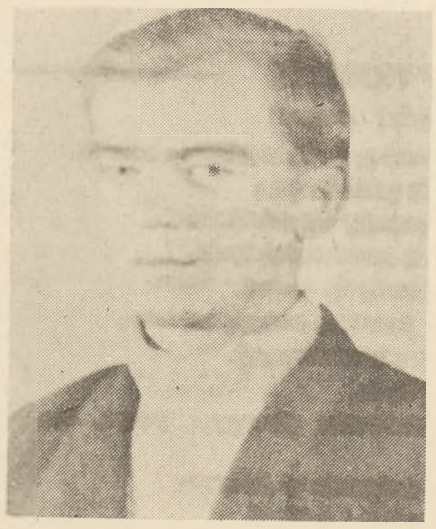

Stanisław Brodziński
(Kwaśniów Górny, pow. Olkusz)

Starsze pokolenie korespondentów było w pewnym okresie radykalne. Oto inny jego przedstawiciel pisze, że w okresie przedwojennej kampanii wyborczej wykleił ustęp plakatami „gdzie był wymalowany Piłsudski bijący Witosa jedynką w tyłek. Za to wszystko zostałem wyrzucony ze szkoły". Radykalizm? Niewątpliwie — tak. Tylko, że był to radykalizm w ramach liberalizmu. Bronić Witosa przeciwko sanacji oznaczało przecież obronę chłopskiego liberalizmu, wiązało się z próbami rozpychania się w ramach kapitalistycznej Polski — gór chłopskich.

Radykalizm, który nigdy nie wyszedł poza istniejący w międzywojennych i wcześniejszych latach społeczno-gospodarczy układ stosunków na wsi, widać również w zainteresowaniach czytelniczych tej grupy pisarzy-korespondentów.

„Czytam bardzo chętnie, ostatnio czytałem „Drogę przez wieś", „Faraona", „Dewajtis". „Historię Chłopów"... Najlepiej podoba mi się „Droga przez wieś"...

„Komplet serca" wiciowego zamyka się. Nasz korespondent zna Burka osobiście, radzi się go nieraz w rozmaitych sprawach. Burek jest dla niego wzorem działacza i pisarza, ponieważ jest radykalny — walczy z plebanią. Ale walka z plebanią mieściła się doskonale w ramach burżuazyjnej rewolucji. Oczywiście w następnym etapie walki mogła prowadzić do rewolucji proletariackiej. Ale tego etapu u wiciarza z Sandomierskiego nie widać.

Urok pisarzy chłopskich, którzy nie potrafili dostrzec klasowej struktury społeczno-gospodarczej wsi, nie zdołali przesunąć się z etapu chłopskiej rewolucji burżuazyjnej na proletariacką, spowodował, że ulegający im, wychowani w ich cieniu, pisarze-korespondenci nie umieją skonkretyzować swojej działalności pisarskiej, związać jej z przemianami drugiego etapu rewolucji na wsi, przesuwającej wieś ku socjalizmowi.

Raz jeszcze wyszło na jaw tragiczne w skutkach społecznych oddziaływanie literatury „wyższego rzędu".

3. „PISZĘ, BO CZUJĘ SWOJĄ ODPOWIEDZIALNOŚĆ"

„Piszę, bo czuję swoją odpowiedzialność, jako czynnika kontroli społecznej, bo czuję, że jestem odpowiedzialny za właściwe funkcjonowanie poszczególnych odcinków naszego życia. Pragniemy przecież, żeby każdy człowiek w społeczeństwie miał świadomość swojej roli, swoich obowiązków społecznych" — tak formułuje swoją postawę pisarza-korespondenta 19-letni ZMP-owiec z chłopsko-robotniczej wsi, leżącej w będzińskim powiecie.

Odpowiedzialność ta wyraża się w zdaniach pisarskich. Pisze on „o sojuszu chłopsko-robotniczym, w jego rozmaitych formach, zewnętrznym wyrazie, aby wszystkim chłopom pokazać dobitnie, że mają wspólne z robotnikami interesy, wspólne plany produkcyjne i osiągnięcia", „że my (chłopi) nie stanowimy jakiegoś odrębnego środowiska społecznego i kulturalnego". Pisze również o walce klasowej, „o wszelkich objawach wyzysku, jak bronić interesów biednych chłopów. Niech każdy wie, że z wrogami klasowymi musimy walczyć, że w tej walce nie jesteśmy osamotnieni, że pomaga nam państwo i wszystkie instytucje społeczne". Pisze również o ośrodkach maszynowych i związkach branżowych jako instytucjach organizujących życie produkcyjne wsi w wyższych niż kapitalistyczne formach.

Skąd taka, niewątpliwie dojrzała społecznie, postawa? Po pierwsze z praktyki. Młody ZMP-owiec z p. będzińskiego jest aktywnym działaczem — przewodniczącym powiatowego aktywu prelegenckiego, kierownikiem sekcji kulturalno-oświatowej przy miejscowym OKZZ, przewodniczącym komitetu współzawodnictwa pracy w szkole. Po drugie ujawnia się tu pozytywny wpływ celowo dobranej lektury. W bogatym indeksie przeczytanych ostatnio książek figuruje: L. Rudnicki, Broniewski, Andrzejewski, Szołochow, Fadiejew, Majakowski, Erenburg, Vailland, Amado...

Lektura i praktyka społeczna wyznaczyła młodemu aktywiście plany życiowe. Chce być lekarzem. Czytał „Ludzi Bezdomnych", ale rolę lekarza pojmuje inaczej niż doktór Judym.

„Nie wiem, czy jest to wpływ lektury, czy też nowego, organizacyjnego wychowania, w każdym bądź razie pojmuję zawód lekarza jako najszersze pole dla realizacji zetempowskich haseł. Całe życie człowieka to walka z siłami przyrody, walka ta przeniosła się dzisiaj do laboratoriów uczonych.. chciałbym być nowym lekarzem, takim jakiego potrzeba w ustroju, do którego dążymy... nie tym religijnym, skłonnym do cierpiętniczych, judymowskich póz"...

Przezwyciężenie wzorów dawnego działacza młodzieżowego nie dokonało się przypadkowo. Dokonało się przez „nowe wychowanie organizacyjne". To nowe wychowanie polega m. in. na powierzaniu młodzieży konkretnych zadań społecznych. W twardej pracy społecznej wyrasta młoda inteligencja ludowa. W tej pracy następuje również przezwyciężenie bohaterów powieściowych Żeromskiego.

Czytający wypowiedzi ankietowe korespondentów „Nowej Wsi" z radością stwierdza fakt, że najliczniejsza ich grupa w mniejszym lub większym stopniu osiąga postawę młodego ZMP-owca z chłopsko-robotniczej wsi powiatu będzińskiego.

20-letni aktywista młodzieżowy z powiatu wieluńskiego uważa, że jego pisarska praca służy sprawie sojuszu chłopsko-robotniczego i walce klas. Czyta niemało pism. Nie tylko pisma codzienne i młodzieżowe. Jest prenumeratorem „Wsi" i „Kuźnicy". Nie podoba mu się społeczna ideologia „Tygodnika Powszechnego": „nie mogę się nigdy pogodzić z treścią artykułów zamieszczonych w tym tygodniku, a zwłaszcza z treścią artykułów ks. Piwowarczyka".

Czyta również współczesnych pisarzy i próbuje ich oceny. „Nie lubię Gustawa Morcinka, którego miałem możność słyszeć na wieczorku literackim w Wieluniu. Jest to człowiek starej daty, który nie umie zrozumieć dzisiejszej rzeczywistości i dążeń społecznych młodego pokolenia".

Oto jeszcze jeden ZMP-owiec, który rozumie klasowy sens kultury i umie dokonywać w niej wyboru. Jego podstawową lekturę stanowi literatura ściśle naukowa i marksistowska. Czyta ją nie tylko ze względu na potrzeby działacza społecznego. Studia nad tygodnikami literackimi i dziełami klasyków marksistowskich traktuje jako jedną z dróg dojścia do pozycji pisarza. Pracę pisarską korespondenta, publicystykę „pierwszego poziomu" uważa słusznie za wstępne stadium rozwojowe, zawiązek wyższej i dojrzalszej działalności pisarskiej.

4. WNIOSKI

Kilkaset stron zapisanych ręką ZMP-owskiej młodzieży wskazuje, że tu, pośród młodego aktywu, należy w pierwszym rzędzie szukać pisarzy-korespondentów dla masowych pism ludowych. Oczywiście istnieją opory ze strony młodzieży. Nie zawsze pojmuje ona należycie społeczną rolę pisarza terenowego. Opory te są tym mniejsze, im bardziej konkretyzuje się korespondent w aktywnej pracy na terenie koła ZMP, świetlicy, biblioteki. Aktywność społeczna oznacza więc równocześnie aktywność pisarską. Przed redakcjami masowych pism ludowych stoi wielkie zadanie kształcenia zespołów terenowych. Trzeba bowiem kształcić, wychowywać dla pisma nie tylko „gotowych" już korespondentów. Potencjalnie, ze względu na entuzjastyczną postawę, niemal wszyscy zgłaszający chęć pisania, mogą w rezultacie systematycznego szkolenia — pełnić z pożytkiem funkcję korespondenta. Z faktu błądzenia sporej części młodych pisarzy terenowych nie wynika bynajmniej, że nie mogą oni wejść na dobrą drogę. Każde masowe pismo powinno stać się rodzajem szkoły dla terenowych zespołów.

I jeszcze jedna uwaga. Pewna część młodych korespondentów może i powinna stanowić **„narybek" publicystyczny dla pism społeczno-literackich.** Korespondenci terenowi bardziej zaawansowani w pracach społecznych przedstawiają doskonały materiał na pisarzy pism „wyższego piętra". Nie zawsze jednak są pod tym względem wykorzystywani.

Wiesław Jażdżyński

Młodzież wsi Zapady w niedzielne popołudnie

Wielemir Chlebnikow

RUŚ ZIELONA W MIESIĄCU AJU

Ruś zielona w miesiącu Aju.
Ej żalu — żalu pień!
Dziewki chcę — spowiedź pnia.
On zielony pośród muchomorów.
Pchała wiosna — dziewki bierz.
Dziewki się wstydliwie tłoczą
Białą chustką kryją oczy.
Radości czyniąc ajowe
Jak wiatr przelecieli
Młody i młoda cała w bieli.
Łap i garnij
Łap i wołaj ogień nieuchwytnej!
Gaś pocałunkiem oczy błękitne,
Szarp!
I prostoduszny, niedźwiedzią łapą
Łapaj i capaj
Dziewiczy cień!
Ty płoń pniu,
Nie marudź
W miesiącu Aju!
Śmiechu sążnisty kęs
Masz ty, bryło mięsa.
No?
Do dziewek, żon gładkich
Tocz się niedźwiadkiem.
Albo na fletni Pana
Graj i świszcz. Nuże!
Grzyby zbierasz w kobiałce
W miesiącu Aju.
To wygłodzaj, zapada maj.
Wiatr sosnę lula
Ktoś tam śpiewa i huka.
Gałęzią stuoką stuka.
Ale paplarza nie schwyci
Diabeł z mordą zbójecką.
Matka sosnowa
Świerszcze niebieskie pożera.
Porzuć paplarza, jest niecny.
Ty po zbójecku puściwszy warkocze,
Jak wiedźma skaczesz przez stos,
Krzyknąwszy: śmigaj!
Ciepło dokoła. Noc jest błękitna.
Tłumy dziewcząt ciemne i bose,
Ciemne ciała, szare warkocze.
Pachnie miłością. Do lasu na grzyby.
Tu surojadka i rudy rydz
Z krwią malinową,
I żółta bedłka kosmata i krągła,
I ty, pieczarko,
Jak śnieg skromna i biała.
I biały gołąbek z główką szeroką.
Ty grzbietu uginasz,
Gdy sianozorze
W burzliwy lipień
Ten miesiąc cierpiętnik,
Czerwoną rodzi się żmiją
Z gwiezdnej drogi Batyja.
Kłosy całują
Dłonie święte
Boga północy.
W sierzpienia tydzień sierpem wywijasz,
Gęste kłosy gonisz przed sobą,
Grzywy opasłe koni złocistych,
Potem pijesz ubrana
Chłodną wodę ze dzbana.
W jesienne dni spoglądasz na niebo,
Na jasne babie lato,
Na blask pajęczyny.
A wieczorem furkoce wrzecłono.
Dziewki ze szlochem udanym
Boga much grzebią.
Z maliną zapiekłszy go w pieróg.
W miesiąc pajęcznik sów nasłuchujesz,
Urodzaju znachorek,
Spoglądasz na łunę.
Potem październ miesiąc weselny,
Narzeczona jedzie w korzuchu niedźwiedzi
Wesele wyprawiasz,
Cietrzewiami przyozdobiwszy
Dugę swych koni.
Nagie są gaje. Sosna samotnie
Ciemnieje. Kruk na niej.
Potem nadejdą już zrękowiny.
Braha na stole i chmiel.
Brody oblane szarymi kroplami,
Czarne miody na stole.
Za nimi prozimiec —
Mądrala w korzuchu.

Przełożył: JAN ŚPIEWAK

Ilia Muchaczew

BUDOWNICZY

Z futer kraina nasza słynie,
Jest zwierza dosyć w tajdze płowej:
Tam, gdzie błękitny Ałtaj płynie,
Żyje łasica, lis i soból.
Gronostaj mknąc po zboczach strzałą
Błyska tam grzbietu pręgą białą,
Kiedy śnieżycą jesień grozi...

W ten nasz sybirski kraj dziewiczy
Przybył odważny budowniczy.
I wśród żywicznej sosen woni
Rozpoczął z tajgą spór zuchwały.
Zabłysnął topór w młodej dłoni.
I zmiąwszy kwiaty — polan stroje
Sięgnął żelazną swoją łapą
Do wnętrza ziemi ekskawator.

W brzóz kole, których szum tak czysty,
Gdzie skalne sterczą już łysiny,
Młody, barczysty budowniczy
Kazał się w górę piąć maszynom.
Biegł potrącając z gór kamyki
Niedźwiedź w gęściejsze cedrów głusze,
Gdy w skałach grzmiał amonal dziki
Woli człowieka najposłuszniej.
Zadrżała tajga niepodległa
Przed pracą mózgu, rąk robotą,
Cegła wspinała się po cegle.
Szedł czas
Gdy z hukiem i łoskotem
Rosła budowa. Las umykał
Po zboczach i urwistych skałach
Coraz to wyżej, gdzie na szczytach
Lodowiec zimnym ogniem pała.

Aż i dzień nadszedł uroczysty.
Zawył potężny komin huty...
Z ciasnego pieca w lej szeroki
popłynął ściekiem przezroczystym
Różowy potok żelazisty.
Wzdymała, wiła się, kipiała
W piecu błękitna topiel stali.

A tam, gdzie wieczna tajga stała
W niebieskiej rozciągnięta dali,
Piorunów biły w głąb oklaski.
To szli górnicy znacząc drogę,
Którędy tłuste i gąbczaste
Pokłady kruszców legły drogich.
Waliły się granitu grudy.

Z zamarłej głębi gór skalistych
Do życia powracały rudy,
Na blask, na świat, na przestwór czysty.
I w kłębach dymu w step pomału
Szły wozy pełne traktem długim.

Z rudy i futer i metalu
Od tego czasu słynie Sybir.

Tł. A. K.

Maria Janion

Wychowanie przez książkę

W styczniu br. Instytut Kulturalno - Oświatowy „Czytelnika" zorganizował próbną akcję czytelniczą, która w toku rozbudowy okazać się może przedsięwzięciem wielkiej doniosłości społecznej.

524 zespoły podjęły akcję planowego czytania; około trzech i pół tysiąca osób po wsiach, miastach i osadach fabrycznych przeprowadziło zorganizowaną akcję samokształceniową, pracowało nad opanowaniem form i techniki zespołowej pracy umysłowej. Tegoroczna próbna akcja czytelnicza objęła grupę skromną w stosunku do potrzeb i zadań pracy oświatowej, wystarczająco jednak szeroką dla zbadania składu społecznego elementów przodujących w akcji samokształceniowej, dla uchwycenia upodobań kulturalnych mas oraz ustalenia technicznego przebiegu i organizacyjnych postulatów akcji tego typu. Doświadczenia wysnute z prac Instytutu Kulturalno-Oświatowego winny być przepracowane z całą odpowiedzialnością i skrupulatnie wykorzystane w dobie ofensywy kulturalnej podjętej przez Polskę Ludową.

Ofensywa ta zajmuje coraz więcej miejsca w prasie codziennej i literackiej. Coraz częściej pojawiają się w gazetach oficjalne komunikaty o zasięgu i zdobyczach tej akcji, a pisma periodyczne dokonują jej sumarycznej oceny.

Przed polskim aparatem kulturalno-oświatowym różnych szczebli stoi ogromne i doniosłe zadanie: jak organizacyjnie ogarnąć rozbudzone kulturalnie masy, nadać właściwy kierunek ideologiczny ich dążeniom, uniknąć biurokratycznej rutyny, zepchnięcia masowego zrywu w martwe łożysko mechanicznych formułek? Próbna akcja planowego czytania winna dostarczyć wielu momentów pouczających dla licznego jeszcze u nas gatunku „mechaników od kultury", techników traktujących przede wszystkim zracjonalizowany typ notatek i planowość dyskusji zespołowych jako podstawowe zdobycze wypracowane przez uczestników akcji oświatowych. Nie znaczy to przecież, że neguję konieczność wdrażania w technikę czytania. Niemniej praca zespołów zorganizowanych przez IKO przynosi materiał, który pozwoli w pierwszym rzędzie zrozumieć doniosłość **politycznej** treści upowszechnianej w masach kultury, a dalej — odsłoni niedomagania innych komórek kulturalno-oświatowych, w pierwszym zaś rzędzie wydawnictw popularno-naukowych. Reakcja zespołów czytelniczych uświadomiła skutki potknięć i fatalnych niedopatrzeń aparatu oświatowego, powodujących fakt, że pomyślne technicznie i organizacyjnie akcje doprowadzają do mas niejednokrotnie szkodliwą i wrogą ideologię. Kontrola społeczna nad akcjami upowszechnienia kultury, poddanie ich wielostronnej ocenie fachowców różnych zakresów umożliwi odpowiedzialny wybór kierunków i metod przedsięwzięć organizacyjnych tego typu.

Próbna praca zespołów planowego czytania została zakończona w maju. „Akta sprawy", obejmujące wiele setek stron zapisanych przez członków zespołów, kronikarzy, instruktorów, organizatorów akcji, recenzentów nadsyłanych prac, czekają na dokładniejsze rozpatrzenie. Już teraz jednak nasuwa się szereg wniosków związanych z tą formą pracy oświatowej.

Plan pracy zespołów, zorganizowanych ze względów technicznych głównie przy istniejących już Kołach „Czytelnika", obejmował lekturę kilku książek określonej dziedziny, dyskusję oraz przygotowanie jednego lub paru referatów, syntetyzujących wyniki zespołowych przemyśleń, na wybrany przez zespół temat. Pożądane były również referaty szczegółowe, pisane przez uczestników w toku pracy, mające na celu rozpracowanie etapów zespołowego planu lub zagadnień pomocniczych. Tak pomyślana akcja wypunktowała, trzeba przyznać, kluczowe zagadnienia wielkiej ofensywy kulturalnej. Akcja planowego czytania kształci czytelnika-odbiorcę, dla którego książka nie jest snobistycznym zbytkiem czy narkotycznym środkiem kompensaty za własne zawody czy klęski życiowe, uczy traktowania książki jako instrumentu działalności życiowej, jako czynnika rozszerzającego wiedzę o świecie i podsuwającego metody i środki działania. Akcja planowego czytania w zorganizowanych zespołach jest najwłaściwszą formą samouctwa. Odrywa od egoistycznych form indywidualnego „doskonalenia wewnętrznego", szerzy zrozumienie społecznego charakteru wszelkiej pracy kulturalnej, wychowuje nie biernego kujona, lecz działacza kulturalnego.

Opiekun zespołu planowego czytania w powiecie jasielskim pisze: „Dzisiaj u tej młodzieży, która brała udział w planowym czytaniu, nie potrzeba do wywołania dyskusji bodźców zewnętrznych, czuje ona dzisiaj potrzebę wyżycia się tą drogą, czuje potrzebę usunięcia wszystkich nieścisłości i niejasności. Wyniki te dały się już odczuć na jednym z zebrań powiatowych, gdzie zespołowcy wzięli tak czynny udział w dyskusji ,że prelegenci musieli po prostu naiwnie się tłumaczyć z niedociągnięć". Wyżej wspomniany korespondent z p. jasielskiego widzi we wzmożonej aktywności młodzieży wiejskiej chęć dalszego „wyżywania się" w dyskusji, a także szlachetny nałóg dążenia do usunięcia wszelkich „nieścisłości i niejasności" w pięknej sztuce mówienia. Wydaje się jednak, że nie chęć popisywania się techniczną sprawnością dyskusyjną, ale rozszerzenie horyzontów myślowych młodzieży, pozwalające jej dostrzec jasno stan istniejący i perspektywy jego poprawy, jest przyczyną aktywności politycznej — tej młodzieży. **Społeczna metoda samouctwa umacnia wiarę w jego społeczne cele.** Niejednokrotnie oddziaływanie zorganizowanej pracy oświatowej przekraczało ramy ścisłego zespołu liczącego przeciętnie od 4 do 10 osób. Sprawozdania donoszą o licznych „wolnych słuchaczach", kibicujących na posiedzeniach zespołów, przysłuchujących się referatom i dyskusjom. Zespół zaczynał więc grać rolę aktywu świetlicowego. Atrakcyjna rola pracującego kolektywu raz jeszcze uwidoczniona została na przykładzie Czytelnikowskich zespołów i narzucać może sugestie co do jej społecznego zużytkowania.

Promieniowanie zespołów uwidoczniło się szczególnie wyraźnie na terenie wiejskim. Wieś dostarczyła też w większości wypadków członków zespołom Czytelnikowskim (310 na 524 zespoły). Chłopi stanowili najliczniejszą grupę zawodową wśród zespołowiczów (łącznie z blisko setką robotników rolnych zatrudnionych w majątkach państwowych), dalej — pracownicy gmin i spółdzielni wiejskich, technicy i mechanicy (głównie traktorzyści), potem — robotnicy przemysłowi, gospodynie wiejskie, ucząca się młodzież, wreszcie leśnicy, milicjanci, kolejarze. Ogromna większość zespołowiczów ma ukończoną szkołę powszechną, lecz systematyczną naukę przerwała dawno. IKO traktujący akcję planowego czytania jako próbną, a więc z góry zakreśloną na niewielką skalę i nie reklamowaną szeroko, stanął wobec dużego zainteresowania terenu, które zmusiło go do przekroczenia pierwotnie przyjętych ram.

Dane, dotyczące społecznego składu uczestników akcji, mówią nie tylko o wielkim potencjale kulturowym Polski Ludowej, która mimo trudności gospodarczych i politycznych potrafiła wytworzyć w masach żywą potrzebę samokształcenia i aktywizacji kulturalnej. Pośrednio wskazują także na luki i niedociągnięcia naszej machiny oświatowej. Przygniatający procent młodzieży wiejskiej w samokształceniowych zespołach świadczy chlubnie o jej ambicjach i potrzebach intelektualnych, ale wskazuje też na fakt, że duża ilość tej młodzieży w wieku właściwym dla dalszego kształcenia nie została jeszcze w pełni wciągnięta w ramy szkolnictwa średniego i zawodowego, że uboczne drogi zdobywania oświaty, jakimi są pomimo swych osiągnięć akcje instytucji społecznych, są wciąż jeszcze dla niej aktualne. „Planowe czytanie" IKO może odegrać istotną rolę, ale w innym zakresie społecznym — wśród dorosłych, wyłączonych z zasięgu oświaty szkolnej, a poszukujących zbiorowych form aktywności kulturalnej. W tym zakresie zespoły planowego czytania nie są zjawiskiem przejściowym, obliczonym na wypełnienie luki, jaką wytworzył wrogi klasowo system szkolny, pielęgnujący ciemnotę mas ludowych. Wydaje się, że nawet przy najpozytywniejszym rozwiązaniu spraw masowej oświaty szkolnej kluby czytelnicze, grupujące ludzi pragnących samokształcenia na marginesie swej pracy zawodowej, będą zawsze cenną formą życia kulturalnego. Kluby takie mogą być bowiem terenem żywej dyskusji, twórczej wymiany myśli, ośrodkiem promieniującym i aktywizującym kulturalnie masy.

Jakie prawa rządzą tym niewątpliwym pędem do oświaty, jakie można wyznaczyć kierunki tej świeżej aktywności ludowej? Akcja Czytelnikowska dostarczyła danych, które w istotny sposób określają kierunek ideologiczny wysiłków uczestników pracy samokształceniowej. Dostarczyła dowodów, że należy skończyć z eklektycznym kramikiem ciekawostek, jakich w formie dobrodziejstw kulturalnych dostarczają wciąż jeszcze wsi „oświatowcy", zapatrzeni w stare, pozytywistyczne koncepcje „oświaty ludowej". Dostarczanie encyklopedycznych „okruszynek wiedzy", bulweryzowanie chłopa zagadnieniem typu: „dlaczego rak chodzi tyłem" to logiczne następstwa wszystkich akcji oświatowych, podejmowanych w ramach systemu kapitalistycznego, gdzie oświata musi być pozbawiona związku z praktyką społeczną i zamieniona w przedmiot indywidualnego luksusu.

—

Doświadczenia wstępnych manewrów IKO wskazują na kierunek zainteresowań dzisiejszej masy czytelniczej. Mówi o tym wybór tematów opracowanych przez zespoły, choć niecałkowicie samorzutny, bo ograniczony listą trzydziestu wytypowanych przez IKO zagadnień; niemniej pozwala on jednak w wystarczającej mierze zorientować się w dążeniach i postulatach czytelników masowych.

Największe zainteresowanie wzbudził problem „O tym, czym jest ziemia i co wiemy o jej pochodzeniu" (55 zespołów). Wybór tego „przyrodniczego", „teoretycznego" tematu pozwala obserwować pęd mas ludowych do zbudowania racjonalistycznego, materialistycznego światopoglądu, do wyrwania się z kręgu „kultury parafialnej", do zerwania z biblijnymi podaniami o stworzeniu świata. Młodzież wiejska walczy z klerykalizmem. Chce wiedzieć, „jak to jest naprawdę". Kulturze parafialnej przeciwstawia się tu „wiedzę obiektywną", światopogląd naukowy. Kult „nauki obiektywnej" ma duży urok — tym zapewne, jak i resztkami oporów ideologicznych tłumaczyć należy to, że nie sięgnięto odrazu po światopogląd marksistowski. Oświatowcy muszą sobie zdawać sprawę z tej walki o światopogląd naukowy, przejawiającej się choćby w wyborze „przyrodniczego" tematu i umiejętnie skierować dążenia masowego czytelnika na właściwe tory. Pewne zespoły wkroczyły już na dobrą drogę, wybierając temat „Rozwój socjalizmu od utopii do nauki". Poszukiwanie prawdy o świecie to jeden z dominujących elementów w zainteresowaniach współczesnego czytelnika masowego. Na drugim miejscu znajduje się temat „Dlaczego należy chronić nasze lasy". Opracowało go 40 zespołów, a zatem około 300 osób. Zainteresowanie tym tematem donosi o wykroczeniu poza ramy doraźnych, małostkowych zabiegów gospodarskich, świadczy o umiejętności myślenia ekonomicznego w skali społecznej, o poczuciu odpowiedzialności za wspólne dobro i o chęci zdania sobie sprawy z kierunku rozwoju gospodarki państwowej. Pewien niepokój natury ideologicznej musi budzić natomiast praktyczny skądinąd temat „Jak hodować króliki, aby był z nich pożytek". 8 zespołów drobnorolnych gospodarzy z Krakowskiego zgłębiało obyczaje i wymagania małych gryzoniów, oczekując z tego niewątpliwego „pożytku". Entuzjazm biedoty wiejskiej dla tych lilipucich „racjonalizacji" gospodarczych nasuwać może dość niepokojące myśli. Czy nie dokonuje się tu wybór między hodowlą królików a... spółdzielnią produkcyjną? Czy nie działa tu urok sporadycznych wypadków awansu ekonomicznego wiejskich spryciarzy, którym udało się niegdyś za pomocą różnych „króliczych" operacji wyłamać się spod działania praw wiejskiej nędzy na marginesie procesu kapitalizacji kraju? Złudę „króliczych reform" należy jasno uświadomić małorolnym gospodarzom z Krakowskiego przez propagandę właściwych dróg racjonalizacji gospodarki rolnej.

Dalszym ogniwem dowodowym dla tezy o dużej praktyczności zainteresowań oświatowych mas jest popularność tematu „Rola kobiety w nowej Polsce". Temat to — wbrew pozorom — wyraźnie polityczny, uwarunkowany niewątpliwie akcją SL i ZSCh w kierunku zaktywizowania kobiet wiejskich.

Osobną pozycję stanowią tematy o charakterze literackim. Uderza, że prace o Adamie Mickiewiczu zajmują drugie miejsce w rzędzie najpopularniejszych tematów. Nad twórczością Mickiewicza pracowało 50 zespołów. I to nie tylko zespoły tworzone przez uczącą się młodzież, jako formą zbiorowej „powtórki" koniecznego do egzaminów materiału, lecz również liczne zespoły młodzieży wiejskiej, które znajdują się poza zasięgiem oświaty szkolnej. Radość, jaką wywołać może samorzutne zainteresowanie twórczością Mickiewicza wśród rzesz samouków, mąci bliższe wniknięcie w ideologiczną treść instrukcji i prac pomocniczych, jakie miały do rozporządzenia zespoły samokształceniowe.

Popularyzacja naukowa operuje naogół stosem mniej lub bardziej udanych broszur, pozwalających czytelnikowi przyswoić najnowsze osiągnięcia, zgodne z światopoglądem materialistycznym. Podobnie przy zagadnieniach społecznych łatwo dotrzeć do licznych broszur politycznych, wyjaśniających problem z socjalistycznego punktu widzenia. Przy temacie literackim — dla lepszego zrozumienia tekstu — czytelnik masowy odwołuje się chociażby do wydawnictwa tegoż Instytutu Kulturalno - Oświatowego, wydawnictwa istniejącego pod nazwą „Wiedza Powszechna". Czego z publikacji tych dowiedzieć się może samouk np. o Mickiewiczu, wykazała Jadwiga Iwanowska w niedawnym numerze „Wsi" recenzując broszurki St. Kołbuszewskiego (jedna z nich została podana zespołom jako lektura). Podobnie tradycyjne, obce i wrogie socjalistycznej wiedzy o kulturze ideologiczne interpretacje dzieł literackich znajdzie czytelnik i w innych broszurach tego wydawnictwa. W ten sposób wytwarza się paradoksalna sytuacja, że aparat oświatowy Polski Ludowej pracuje nad upowszechnieniem w masach szkodliwych teorii rekcyjnego literaturoznawstwa. Nie można myśleć o właściwej popularyzacji literatury pięknej bez uruchomienia wydawnictwa przekazującego nowoczesną socjalistyczną wiedzę o literaturze, bez ideologicznego wykształcenia kadr instruktorskich. Obecnych instruktorów cechuje bowiem najczęściej bierność i tradycjonalizm myślowy. Masowego czytelnika, który pracuje nad zgłębieniem bogactwa literatury własnego narodu i innych narodów świata, trzeba zaopatrzyć w publikacje krytyczne, pozwalające mu pojmować literaturę w sposób nowoczesny. Jest to podstawowy warunek powodzenia akcji planowego czytania. Wierzymy, że „Wiedza Powszechna" włączy się w ten nurt działania Polski Ludowej.

Rolę nieistniejących wydawnictw postulowanego typu odgrywały dotąd — oczywiście w minimalnym zakresie — instrukcje dołączone do tematu, naświetlające zagadnienia literackie z socjalistycznego punktu widzenia. Tą drogą, opierając się jedynie na trudnej książce Kotta o „Lalce" Prusa, udało się np. zaradzić brakom opracowań przy temacie „Zagadnienia społeczne literatury okresu pozytywizmu". Temat ten został podjęty wyłącznie przez młodzież szkolną. Instytut Kulturalno - Oświatowy uważa raczej za swój błąd organizowanie zespołów planowego czytania na terenie szkół średnich ogólnokształcących. Przy obecnym przejściowym braku po marksistowsku wyszkolonych kadr pedagogicznych wydaje się to niesłuszne. Nauczyciel w gimnazjum bardzo często interpretując literaturę narzuca młodzieży wsteczne treści ideologiczne. Młodzież szuka zatem innego, słuszniejszego tłumaczenia, które ujmuje literaturę zgodnie z postulatami współczesności. Skoro szkoła narazie nie może dostarczyć uczniom socjalistycznego poglądu na kulturę, powstaje niejako obok szkoły nurt pracy samokształceniowej. W pracy grupowej wyrabia się nowy światopogląd. Błędy i osiągnięcia tej młodzieży świadczą o trudnościach jej walki z narzuconym systemem tradycyjnej interpretacji zjawisk kultury. Bardzo często referaty uczestników akcji są cennymi dokumentami, ukazującymi formy przenikania nowego światopoglądu do zrutynizowanych schematów szkolnych. Utrwaliło się w nich nowe klasowe spojrzenie na literaturę. Uczestnicy zespołów samokształceniowych wydobywają z kultury polskiej jej prawdziwie postępowy nurt, uczą się oceniać literaturę z pozycji proletariatu. Te cenne osiągnięcia stosunkowo dość nielicznych zespołów ukazują drogę, jaką należy obrać w momencie, gdy Instytut Kulturalno - Oświatowy przejdzie do szeroko zorganizowanej akcji planowego czytania.

Akcja próbna — mimo wskazanych niedociągnięć i niebezpieczeństw — zdała w pełni egzamin jako forma upowszechnienia kultury. Można ją prowadzić na etapie jesienno - zimowym. Zostanie ona wtedy słusznie upolityczniona przez związanie z ZSCh, ZZ, ZMP.

Doświadczenia tej próby uczą: **zerwać z wzorem „oświatowca-technika", upolitycznić kadry instruktorskie, wzmocnić akcję popularyzatorskim wydawnictwem marksistowskim, przekazywać treści ideologicznie bliskie Polsce Ludowej i przez książkę wychowywać budowniczych socjalizmu.**

Lew Kondyriew

KOPACZ

Skończył robotę, odrzucił łopatę.
W kanał spiętrzony runął rzeki bieg,
Granity rwał i gwizdał w piany w płatach,
Nurt jej jak szabli wyostrzony brzeg.

Dogasał żar nad horyzontem rdzawym,
Tam, gdzie się w kurczach wiły drzewa tundr,
Gdzie od posuchy umierały trawy,
Niósł się gwałtowny fali rzecznej szum.

Pod chmurą orły zakrzyczały z żalem
I nagle stamtąd, gdzie już kanał ciekł,
Zobaczył człowiek w zbłękitniałej dali
Miasto wstające nad kamienny grzbiet.

Wzeszły zasiewy, kłosiły się zboża,
Zakwitły łąki i zaszumiał gaj,
Pobiegły drogi po dawnych bezdrożach
Ziemi tak żyznej jak baśniowy kraj.

Niebywałego urodzaju lato
Płonęło w górach i winograd rósł,
Dymiły stocznie... mapę „pięciolatki"
Wracając z pracy kopacz w oczach niósł.

Tł. A. K.

Tadeusz Orlewicz

ARSENAŁ WOJENNY IMPERIALIZMU

Zagłębie Ruhry cieszy się ogromnym zainteresowaniem monopolistycznego kapitału północno-amerykańskiego, który mnoży w nim swoje wpływy dla agresywnych celów. Dlatego też zagłębiem Ruhry równocześnie interesują się wszystkie ludy miłujące pokój, które z niemałą troską obserwują narastanie groźby przeciwko pokojowi świata.

Ostatnio ukazała się na temat Zagłębia Ruhry ciekawa praca ekonomisty francuskiego J. Baumier [1]). Książka ta opiera się na własnych obserwacjach autora, poczynionych w czasie jego bytności w Düsseldorfie, oraz na skrzętnie zgromadzonym materiale dowodowym.

Czytelnikom „Wsi" podajemy w streszczeniu wywody J. Baumier, stanowią one bowiem wynik poważnych studiów, ponad to zaś są jeszcze jednym świadectwem, że postępowe koła francuskie budzą nieustannie opinię swego kraju przeciwko sprzedajnemu rządowi w obronie Francji i pokoju świata.

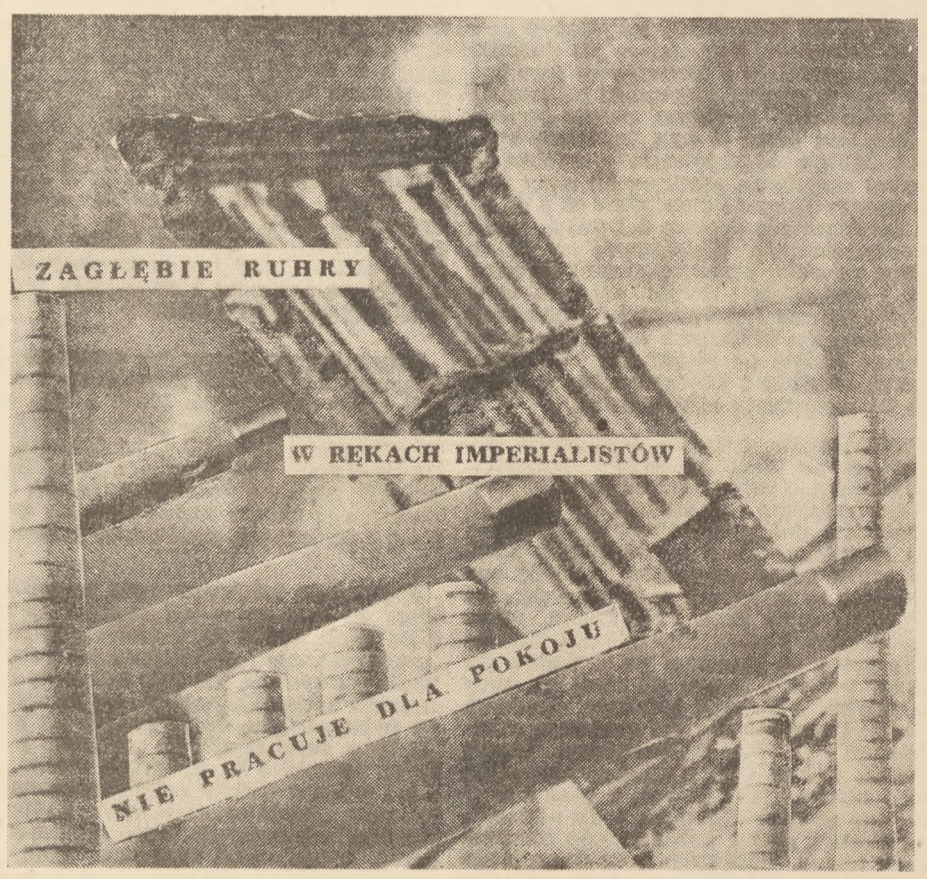

NIETKNIĘTY POTENCJAŁ PRZEMYSŁOWY

Miasta zagłębia Ruhry zostały w wyniku działań wojennych zniszczone mniej więcej w 70%. Ruiny, które otaczają katedrę w Kolonii, są chętnie pokazywane obcokrajowcowi. Mieszkańcy Düsseldorfu czy Essen prowadzą życie jaskiniowców. Ale przmysł pracuje, horyzont najeżony jest nadal dymiącymi kominami, które świadczą o aktywności i nienaruszonym stanie urządzeniowym przemysłu. Miasta były przedmiotem ataków bombowców anglosaskich, ale po tych bombardowaniach systemem dywanowym czy jakimś innym bardziej niezawodnym — potencjał przemysłowy Ruhry po wojnie przedstawiał jeszcze 70% możliwości produkcyjnych w porównaniu z okresem najwspanialszego jego rozwoju.

Ale anglosascy kombinatorzy myślą o demilitaryzacji i dekartelizacji Ruhry tylko wówczas, jeżeli konkretne gałęzie przemysłu niemieckiego mogą stanowić w przyszłości konkurencję dla odpowiednich gałęzi przemysłu anglosaskiego. Natomiast zagadnienie bezpieczeństwa, umowy zawarte w Poczdamie nie są dla nich istotne. W tym stanie rzeczy nie należy się dziwić, jeżeli zdemontowano przedsiębiorstwa, które produkowały grzebienie i inne wyroby konfekcyjne. Jednocześnie jednak w Hamburgu istnieje fabryka Wilhelm Schultz, która wyrabia części do samolotów bojowych. Ta fabryka była wciągnięta na listę reparacji i miała być oszacowana przez ekspertów alianckich. Z chwilą jednak kiedy eksperci ci przybyli do Schultza, pokazano im jedynie 150 sztuk części zdekompletowanych, zebranych z różnych warsztatów i rozrzuconych w małej fabryczce... instrumentów muzycznych. Administracja brytyjska oświadczyła, że to jest wszystko, co pozostało z fabryki Wilhelm Schultz. Po wyjeździe ekspertów fabryka nagle „cudem" ruszyła i produkuje nadal materiał wojenny.

Z pośród firm przemysłu stalowego zakłady Kruppa, Thyssena, Mannesmana, Guttenoftnungshütte, Demag odrodziły swoją aktywność. 350 hut i odlewni już funkcjonuje normalnie. W rezultacie w roku 1947 tak wyglądała produkcja przemysłu stalowego w Zagłębiu Ruhry w tonach:

	styczeń	marzec	maj	lipiec	wrzesień
żelazo (sztaby)	125.671	148.604	139.465	154.368	171.138
stal	149.035	216.936	214.351	237.306	250.837
wyroby walcowane	117.732	156.970	150.826	162.343	171.815

To odradzanie przemysłu opiera się przede wszystkim na fakcie, że kopalnie nie uległy zniszczeniu, jedynie urządzenia na powierzchni legły w gruzach i w sumie zdolność produkcyjna kopalni zagłębio-ruhrskich osiąga po wojnie 90% zdolności z lat przedwojennych. Fabryki paliw syntetycznych nie poniosły żadnych szkód z wyjątkiem Dortmundu. Przędzalnie mają 50 do 60%, tkalnie zaś 70—75% swych urządzeń zdolnych do pełnego ruchu. Wielka wytwórnia buny, cały przemysł narzędziowy, instytut doświadczeń i wynalazków „Kaiser Wilhelm" nie poniosły żadnych uszkodzeń.

W tym stanie rzeczy komisja spraw zagranicznych Senatu USA już w roku 1946 musiała zakończyć raport swój o sytuacji gospodarczej Zagłębia Ruhry słowami:

...„Wobec tego należy stwierdzić, że wszelkie deklaracje, składane od roku 1945 i wskazujące, iż w wyniku strat, dokonanych przez bombardowanie alianckie i przez działania wojenne, groźba ze strony przemysłu niemieckiego przestała istnieć co najmniej na 15 czy 20 lat, nie mają żadnych realnych podstaw".

FARSA DEKARTELIZACJI

Postanowiona w Poczdamie dekartelizacja przemysłu niemieckiego obrócona została przez Anglosasów w martwą literę. Heinrich Dinkelbach, przywódca wielkich przemysłowców nazistowskich Zagłębia Ruhry, jest obecnie głównym doradcą Brytyjczyków do spraw dekartelizacji. Otoczony różnymi „doktorami" niemieckimi, stał się wykonawcą posunięć przekreślających dekartelizację, a wzmacniających koncentrację wielkiego przemysłu zbrojeniowego. Wprawdzie niektóre niemieckie kartele stalowe zostały oficjalnie rozdzielone — jest to jednak oczywista fikcja. Fikcją jest przecież powoływanie nowych towarzystw na tak kruchych podstawach finansowych (najczęściej kapitał zakładowy wynosi 100.000 marek), że jaskrawo rzuca się w oczy słuszność konstrukcji, obliczonej na efekt i na bardzo krótki żywot. Fikcję dekartelizacji uwypukla wreszcie fakt, że pozostawiono wszystkim dawnym panom zagłębia, a więc: Kruppowi, Stinnesowi i innym ich własność przemysłową.

W dziedzinie produkcji węgla sytuacja jest jeszcze bardziej niepokojąca. Przed wojną istniał syndykat węglowy Zagłębia, reprezentowany przez wszystkie główne firmy prywatne. To była koncentracja w sensie poziomym. Ale w przekroju pionowym wyraźnie widać, że kopalnie węgla należały najczęściej do przedsiębiorstw stalowych. Struktura przemysłowa Zagłębia dosięgnęła najwyższego poziomu rozwoju kapitalistycznego, charakteryzującego się budową organizmu podwójnie scentralizowanego — koncernów.

Kopalnie węgla zostały po wojnie powierzone przez Anglików — „wiernym" rękom niemieckim. W ten sposób wszystko powróciło do dawnego stanu. Brak kontroli powoduje ponadto, iż conajmniej 20 proc. faktycznej produkcji węgla nie jest wliczane do puli oficjalnej, natomiast skierowywane na czarny rynek zasila również dobrze prywatne mieszkania jak i poszczególnych przemysłowców.

Robotnik metalowy w zakładach Kruppa otrzymuje 2 marki za godzinę pracy, a więc w najlepszym razie zarobić może tyle w ciągu miesiąca, ile kosztuje para nędznych butów na czarnym rynku. Górnik niemiecki otrzymuje rację dzienną wartości 4.000 kalorii, ale racją tą musi się dzielić z całą swoją rodziną, bo dla innych takich kartek żywnościowych nie ma. Zagłębie Ruhry przeżywa ciągłe strajki; w roku 1947 było ich przeciętnie 18 miesięcznie, z czego co najmniej 10 dotyczyło spraw socjalnych i organizacyjno-administracyjnych. Te sprawy organizacyjno-administracyjne to protesty robotników przeciwko technikom hitlerowskim.

Oni to i ci ich protektorzy, który wzmagają koncentrację przemysłu w Zagłębiu Ruhry, żerują na wyzysku klasy robotniczej, podnosząc nieustannie swoje zyski i restytuując zwolna swoje kolosalne przedwojenne fortuny. Dzieje się to tym łatwiej, że zarówno przemysł metalowy jak i przemysł węglowy żyją dostatnio dzięki subwencjom anglosaskim, które w całości wpływają bezpośrednio do kieszeni magnatów niemieckich, byłych przyjaciół i zaufanych Hitlera.

NOWA INWAZJA DOLARA

Istnieją niewątpliwie związki pomiędzy przemysłowcami i finansjerą amerykańską i niemiecką. Oto koncern Hugo Stinnes jest obecnie w rękach amerykańskich. General Motors objął definitywnie kierownictwo produkcji zakładów Opel. Amerykańskie zakłady Forda zakładają w Kolonii najpotężniejsze w Europie zakłady przemysłowe.

Ale to wszystko nie jest nowością. Oto w dziedzinie nafty na terenie Niemiec królowało Deutsche - Amerikanische Petroleum Ges., była to filia rockefellerowskiego Standard Oil, które z kolei miało dużą rafinerię w Bremie i 33 proc. niemieckich stacji benzynowych. General Electric (grupa Morgana) posiadała 30 proc. akcji trustu niemieckiego AEG, a administratorem tego właśnie AEG był nie kto inny, tylko O. Young, autor znanego planu reparacyjnego. Amerykański trust elektryczny Sofino-Chade-Sidro zorganizował konsorcjum amerykańsko - niemieckie z udziałem grupy Morgana oraz AEG i Kruppa.

Jednym z poważnych pośredników tych czułych kontaktów był anglo-amerykańsko-niemiecki bank Schroedera. Po pierwszej wojnie światowej bank ten dostarczył olbrzymich kredytów największym zbrojeniowym magnatom niemieckim. Bank działał na terenie amerykańskim w ścisłym porozumieniu z bardzo potężnym handlowym domem nowojorskim: „Sullivan and Cromwell". Właścicielami tego domu są dwaj bracia Dulles Nazwisko powszechnie znane. Jeden z tych braci — to John Forster Dulles — członek delegacji amerykańskiej w Wersalu. On właśnie w 1919 r. reprezentował USA w międzysojuszniczej komisji reparacyjnej. Ten Dulles sam był jednym z autorów planu Dawesa, który pozwolił Schachtowi podjąć odbudowę gospodarki niemieckiej, a w r 1933 reprezentował USA w sprawach, związanych z długami niemieckimi. Ostatnio John Forster Dulles towarzyszył amerykańskiemu sekretarzowi stanu Dean Achesonowi na Konferencji Czterech w Paryżu. Brat jego, Allen Dulles, jest dyrektorem i radcą prawnym banku J. H. Schroeder w Londynie, Hamburgu i Kolonii.

W ten sposób na szereg lat przed drugą wojną światową powstała potężna grupa, której zasadniczymi członami były: bank Schroedera, magnaci z Zagłębia Ruhry, arcybogaty amerykański Rockefeller i przywódcy partii republikańskiej USA. W czasie wojny, kiedy zwycięstwo zdecydowanie odsuwało się od hitlerowskiego wehrmachtu, grupa Schroedera nawiązuje znowu kontakt ze swoimi amerykańskimi kolegami, aby traktować o planach hegemonii kapitału finansowego pod przykrywką federacji zachodnio-europejskiej, skierowanej w istocie rzeczy przeciwko ZSRR.

MAGNACI NAZISTOWSCY ZNOWU NA WIDOWNI

Grupa niemiecka Schroedera kontynuuje po wojnie i poszerza swoje udziały w filiach londyńskich i nowojorskich poprzez fikcyjne towarzystwo „Veritas". Jej protektorem pozostaje nadal John Forster Dulles; wśród serdecznych jej popleczników widzimy gen. Drapera, kóry był do niedawna szefem służby ekonomicznej wojskowej administracji amerykańskiej w Niemczech. Generał Draper to ponadto dyrektor amerykańskiego banku Dillon Read and Co i jeden z większych akcjonariuszów amerykańskiego banku... Schroedera.

Wychodzą na czoło znowu ci, którzy w ten czy w inny sposób są związani z kołami międzynarodowego kapitału i finansjery. Alfred Stubenberg, jeden z członków pierwszego gabinetu Hitlera, wierny hitlerowcom w jednaniu im pomocy finansowej, jest obecnie przewodniczącym stalowego trustu „Vereinigte Stahlwerke". Zasłużony dla hitleryzmu dr. E. Poengsen, twórca międzynarodowego koncernu stalowego, jest obecnie jednym z dyrektorów „Vereinigte Stahlwerke". Jego bliski współpracownik, H. Dinkelbach, jest dyrektorem dla spraw przemysłu węglowego w Zagłębiu Ruhry. R. Schmid, jeden z członków grupy wojennego zbrodniarza — Flicka, kieruje reńsko-westfalskim syndykatem węglowym. Znany hitlerowiec, H. Vits, jest doradcą brytyjskim w dziedzinie sztucznego jedwabiu.

W takich warunkach bakcyl hitleryzmu otrzymuje doskonałą pożywkę w Zagłębiu Ruhry, dając pole do rozwoju innej znowu parodii, jaką jest denazyfikacja i demokratyzacja Niemiec zachodnich. W takich warunkach Zagłębie Ruhry staje się nie tylko europejską kuźnią agresji imperialistycznej, ale i obozem zbornym dla wszelkiego rodzaju faszystów i reakcjonistów, którym ich protektorzy z przemysłu i polityki zapewniają bezkarność i opiekę.

LEKCJA HISTORII

Zagłębie Ruhry produkuje 70—80 proc. węgla niemieckiego. Zagłębie to ma ustalony przez anglosaskich mocodawców limit produkcję do 119 proc. w porównaniu ze stanem zamiast ustalonego w Poczdamie przez cztery mocarstwa limitu sięgającego 5,8 milionów ton. Przemysł ciężki ma wyprodukować maszyn o wartości 500 milionów marek, a przemysł maszyn lekkich ma wzmóc swoją produkcję do 119 proc. w porównaniu ze stanem przedwojennym. Tylko w dwóch strefach: amerykańskiej i brytyjskiej fabryki samochodów mają wypuszczać 220.000 maszyn zamiast 80.000, produkowanych przed wojną we wszystkich zakładach samochodowych na terenie całych Niemiec.

Te cyfry — to znaki, wskazujące na absolutne pogwałcenie przez Anglosasów wszystkich umów międzynarodowych, nawet z wyraźną szkodą dla swego trzeciego partnera — Francji, nie mówiąc już o sprawie pokoju i bezpieczeństwa Europy i świata. Te cyfry — to składowe części planu podżegaczy wojennych, których ogarnia wściekłość na widok rosnącej potęgi ZSRR, rozwoju gospodarki krajów demokracji ludowej i potężniejącego światowego obozu postępu i pokoju.

Historia lat ubiegłych stanowi jednak wyraźną lekcję. Niemcy po pierwszej wojnie światowej uruchomiły cały swój aparat propagandowy, aby krzyczeć o rzekomym głodzie, anarchii i... „bolszewizmie", toczącym niemieckie życie. Z tego szantażu rodzi się plan Dawesa, którego motto przewodnie brzmiało: „trzeba znaleźć wodę, aby uruchomić młyn budżetu niemieckiego". Naiwnym wmawiano, że chodzi o to, aby Niemcy mogły płacić reparacje, że chodzi o to, aby „ratować Europę". Dziś trzeba powiedzieć, że amerykański plan Dawes'a odrodził militaryzm niemiecki i właśnie dzięki temu planowi Hitler mógł montować swoją machinę wojenną. Od 1932 r. do 1939 r. Niemcy otrzymały pod postacią kredytu — 8 miliardów dolarów. Te miliardy powierzono Schachtowi, który jako znany hitlerowski magik finansowy zrobił z nich odpowiedni użytek.

Wtedy kiedy przemysłowcy Zagłębia Ruhry przygotowują wspólnie z wielkimi bankami nowojorskimi odrodzenie niemieckiego potencjału wojennego, awanturnicza grupa Hitlera szykuje się do zagarnięcia państwa pod hasłem odrodzenia pangermanizmu. Z połączenia tych dwóch sił, koncernów Ruhry i partii hitlerowskiej, wyrosła Trzecia Rzesza Wielkich Niemiec. Nie kto inny tylko Krupp finansuje pierwsze walki wyborcze Hitlera. Nie kto inny tylko Thyssen daje na cele organizacyjne hitlerowców 3 miliony marek. A ci właśnie wraz ze swymi najbliższymi wspólnikami otrzymali za pośrednictwem Schachta z owego planu Dawes'a 360 milionów dolarów.

Rośnie przemysł wojenny Niemiec. W roku 1938 produkcja stali dosięga w Niemczech 23 milionów ton wobec 6.200.000 produkcji francuskiej i 2 milionów ton produkcji polskiej. Krupp przenika do USA i w stanie Delaware zakłada oddział produkcyjny „Krupp-Nirota". Mannesheim penetruje w podobny sposób we francuskim Marokko. I. G. Farben, koncern-potentat, zwany słusznie wampirem-ośmiornicą, ma udziały w 5.000 firm zagranicznych, obejmuje swoją kontrolą całą Europę i wiele krajów pozaeuropejskich. Te i inne zakłady niemieckie na obcej ziemi są ośrodkiem dyspozycji dla sabotażu i wywiadu, są bazami wypadowymi dla przyszłej agresji i centrum propagandy nazistowskiej na dany kraj.

Potężne rezerwy w potencjale przemysłowym Zagłębia Ruhry są rozwijane przez imperializm amerykański, który włącza Zagłębie do swoich planów agresywnych wbrew woli i interesom ludności niemieckiej, wbrew umowom międzynarodowym, wbrew interesom wszystkich ludzi pracy miast i wsi całego świata.

Obraz sytuacyjny Zagłębia Ruhry to. posunięta do najwyższych granic centralizacja przemysłowa i finansowa, wszechwładztwo najbardziej wstecznych elementów konserwatyzmu politycznego i nieustanne rozwijanie potencjału agresji. To groźba, wisząca nad pokojem świata. Usunąć tę groźbę może jedynie ściśle przestrzeganie uchwał poczdamskich, a więc demilitaryzacja, denazyfikacja, demokratyzacja, realizowane na podstawie jednomyślnych decyzji ZSRR, USA, W. Brytanii i Francji. Tylko wówczas Zagłębie Ruhry może stać się dodatnim czynnikiem w gospodarce niemieckiej, europejskiej i światowej. Dziś zaś w rękach imperialistów niesie zarzewie nowej wojny.

[1]) Jean Baumier. Force de guerre dans la Ruhr. Editions du Pavillon. Paris, 1948, str. 150.

Jan Roszczewski

Wielkie rewolucyjne życie

Georgi Dymitrow
(Zdjęcie z roku 1933)

MOTTO: „Dla praktycznego komunisty, tzn dla komunisty, istota rzeczy tkwi w tym, by rewolucjonizować istniejący świat, by przeciwstawić się w praktyce istniejącemu porządkowi rzeczy i zmienić go" (Marks i Engels, Niemiecka ideologia).

Życie Dymitrowa stanowi wielką i bohaterską epokę w historii rewolucyjnego ruchu robotniczego w Bułgarii i Europie. Urodzony w r. 1882 w bułgarskiej wsi Kowaczewce, w rodzinie robotniczej, przeszedł koleje losu bułgarskiej klasy robotniczej i narodu bułgarskiego.

Najstarszy brat Dymitrowa Konstanty padł w 1913 r. podczas wojny bałkańskiej. Drugi brat Mikołaj, aktywny działacz robotniczy, prowadzi od 1905 r. wytężoną działalność rewolucyjną na terenie Rosji. Aresztowany w nielegalnej drukarni w Odessie zostaje zesłany przez carat na dożywocie na Syberię; umiera niemalże w przeddzień rewolucji październikowej.

Trzeci brat, Teodor, zginął w więzieniu bułgarskim w 1925 r. zakatowany przez faszystowskich siepaczy.

Dymitrow kontynuował rewolucyjną tradycję swych braci. Już jako 15-letni chłopiec działa aktywnie w ramach sofijskiego Związku Zawodowego Drukarzy; drukuje pierwsze artykuły, poświęcone zagadnieniom poprawy bytu klasy robotniczej, w piśmie „Peczerski Robotnik".

Już w tym wczesnym okresie ujawnił się rewolucyjny temperament Dymitrowa. Znamienny fakt: Pewnego razu Dymitrow odmówił złożenia artykułu reakcyjnego ministra Radosławowa, w którym ten w sposób brutalny zaatakował bułgarską klasę robotniczą.

Później, gdy Dymitrow był posłem do parlamentu bułgarskiego, Radosławow przypomniał mu jego rewolucyjny postępek z czasów młodości.

Dymitrow dojrzewa politycznie i klasowo. Mając 18 lat zostaje obrany sekretarzem Związku Zawodowego Drukarzy. A gdy niebawem w szeregach bułgarskiej partii socjal-demokratycznej wybucha walka pomiędzy oportunistyczną prawicą a zdecydowanie marksistowską lewicą (tzw. ciasnych), Dymitrow zajmuje zdecydowanie pozycje po stronie lewicy, z której następnie wyłoni się Komunistyczna Partia Bułgarii. W szeregach „ciasnych" Dymitrow prowadzi bezustanną walkę o poprawę bytu klasy robotniczej, prowadzi ją od walki do walki, uczy zwyciężać i zachowywać wytrwałość w klęsce.

Jako wybitnie dobry organizator zostaje w 1904 r. wysunięty na stanowisko kierownika Ogólnego Robotniczego Związku Zawodowego w Bułgarii. Z tej pozycji kieruje strajkami robotniczymi Bułgarii w 1906 r. w Perniku, w 1908 — w Sliwenie, w 1909 w Kostieńcu, w 1910 — w Plovdiwie, w 1913 — ogólnym strajkiem drukarzy w Sofii.

Gdy zaś nad Europę nadciągnęły chmury pierwszej wojny światowej — Dymitrow wraz z lewicą socjaldemokratyczną („ciaśni") zwalcza szowinistyczną politykę bułgarskiej burżuazji. Wydaje wojnę wojnie.

Rząd nie ośmielił się wystąpić przeciwko frakcji parlamentarnej „ciasnych" — postanowił jednak uwięzić przywódcę. Dymitrow zostaje pod błahym pretekstem wtrącony na półtora roku do więzienia. Zaledwie jednak opuścił więzienie, zostaje ponownie aresztowany za przemówienie wygłoszone do strajkujących robotników w Perniku. Robotnicy jednak, wśród których Dymitrow cieszył się wielką popularnością, odbierają go z rąk policji, w chwili, gdy przewożony z Perniku wysiadał z pociągu.

Po wojnie Dymitrow staje na czele Bułgarskiej Partii Komunistycznej, z jej ramienia udaje się w r. 1920 na kongres Kominternu, gdzie spotyka się z Leninem, a w r. 1923 kieruje powstaniem robotników i chłopów przeciw faszystowskiej dyktaturze, która 9 czerwca tego roku drogą zamachu stanu doszła do władzy. Wraz z upadkiem powstania rozpoczął się długi okres politycznej emigracji Dymitrowa. Przebywa w Austrii, Niemczech. W tych latach zostaje organizatorem międzynarodowego ruchu robotniczego. Zostaje czołowym szermierzem idei frontu ludowego. „Walka z faszyzmem — pisze Dymitrow w 1929 r. — musi być ściśle związana z walką przeciw widmu wojny. Warunkiem powodzenia tej walki jest wskrzeszenie, rozwój i umocnienie wspólnego rewolucyjnego frontu robotników i włościan narodów uciemiężonych i mniejszości narodowych".

25 marca 1933 roku zostaje prowokacyjnie aresztowany przez hitlerowców i oskarżony o podpalenie Reichstagu. W trakcie procesu oskarżony Dymitrow przeobraża się jednak na oskarżyciela niemieckiego faszyzmu. Demaskuje cele prowokacyjnego podpalenia Reichstagu przez hitlerowców i sam hitleryzm.

Oto dwie nader charakterystyczne sceny: „Z przesłuchania Goeringa:

Dymitrow: Hrabia Helldorf zeznał tu, że 27 lutego około godz. 11 wieczorem wydał z własnej inicjatywy rozkaz aresztowania komunistycznych i socjaldemokratycznych przywódców i funkcjonariuszy. Pytam teraz Pana Prezesa Rady Ministrów: czy hr. Helldorf mówił wówczas z panem Goeringiem o tym zarządzeniu, czy też nie?

Goering: Odpowiedź na to pytanie została już właściwie udzielona. Kiedy hr. Helldorf dowiedział się o pożarze, było dla niego rzeczą jasna, jak zresztą dla każdego z nas, że jest to dzieło partii komunistycznej. Toteż wśród swego najbliższego otoczenia wydał odpowiednie zarządzenia. Ale podkreślam raz jeszcze: zawezwałem go oczywiście wtedy do swego pokoju i powiedziałem mu, że muszę go prosić, aby oddał do dyspozycji również swoją SA, na co odpowiedział, że to już częściowo zarządził. W ten sposób wziąłem na siebie odpowiedzialność za rozporządzenia, które on już był wydał, lecz które nie nabrały jeszcze mocy prawnej i powtórnie usankcjonowałem je autorytetem państwa.

Dymitrow: Chciałbym tylko wiedzieć, czy pomiędzy 11 a 12 godz. odbyła się osobista rozmowa pomiędzy hr. Hellendorfem a prezesem Rady Ministrów, Goeringiem.

Goering: Słyszał pan przecież przed chwilą: tak, hr. Helldorf był u mnie.

Dymitrow: Nacjonal-socjalistyczni posłowie Reichstagu, pan Karwahne i pan Frey zeznali tu, że około 11 godz. byli w pruskim Minsterswie Spraw Wewnętrznych i oświadczyli tam, że zarówno obaj, jak i austriacki nacjonal-socjalista Kroyer w dniu pożaru widzieli Torglera razem z van der Lubbem. Czy rozmawiali wówczas ci posłowie Reichstagu z prezesem Rady Ministrów Goeringiem?

Goering: Nie.

Dymitrow: Czy panu prezesowi Rady Ministrów było wiadome, że panowie Karwahne i Frey złożyli podobne oświadczenie?

Goering: Nazajutrz po pożarze dowiedziałem się, że złożyli takie oświadczenie.

Dymitrow: Z rana, czy jeszcze w nocy?

Goering: Przed południem, a być może że i po południu.

Dymitrow: A więc przed południem, czy po południu?

Goering: Można stwierdzić, kiedy otrzymałem pierwszą informację o zeznaniach tych świadków, jeśli przesłuchać naczelnika departamentu ministerstwa Diehlsa.

Dymitrow: Chciałbym, aby s wierdzony został fakt, że na moje pytanie Karwahne odpowiedział z całą stanowczością, iż wiadomości te dostarczył po północy, natychmiast po pożarze.

Goering: W ministerstwie te trzy osoby złożyły zeznania urzędnikom, a nie mnie. Nie mogę nic o tym wiedzieć. Mogło to być w nocy, albo też przed południem. Nie przypominam sobie, kiedy mnie o tym poinformowano.

Dymitrow: 28 lutego prezes rady ministrów Goering udzielił wywiadu w sprawie podpalenia Reichstagu. W wywiadzie była mowa o tym, że w chwili aresztowania „holenderski komunista" van der Lubbe oprócz paszportu miał przy sobie legitymację partyjną. Skąd pan prezes Rady Ministrów wiedział wówczas, że van der Lubbe miał przy sobie legitymację partyjną?

Goering: Muszę powiedzieć, że dotychczas nie bardzo interesowałem się tym procesem, tj. przeczytałem nie wszystkie sprawozdania. Tylko od czasu do czasu słyszałem, że jest pan (do Dymitrowa) człowiekiem wyjątkowo przebiegłym. Toteż przypuszczałem, że pytanie, które pan tu zadał, jest dla pana już od dawna jasne, mianowicie, że badaniem tej sprawy w ogóle się nie zajmowałem. Nie latam przecież po świecie i nie wyciągam ludziom rzeczy z kieszeni. Jeżeli nie było to panu (do Dymitrowa) dotąd wiadome, to powiadam panu: policja rewiduje wszystkich przestępców i informuje mnie o tym, co znalazła.

Dymitrow: Trzej urzędnicy policji kryminalnej, którzy aresztowali van der Lubbego i pierwsi go przesłuchali, zeznali jednogłośnie że u van der Lubbego nie znaleziono żadnej legitymacji partyjnej. Chciałbym więc wiedzieć, skąd się bierze wiadomość o legitymacji?

Goering: Mogę to panu powiedzieć zupełnie dokładnie. Informację tę otrzymałem w drodze oficjalnej. Jeżeli owej pierwszej nocy dostarczono również wiadomości o sprawach, które, możliwie nie tak szybko dawały się sprawdzić, jeżeli u któregoś z urzędników na podstawie być może jakiegoś oświadczenia być może była mowa o tym, że van der Lubbe miał przy sobie legitymację partyjną i nie można było tego skontrolować, brano to ewentualnie za fakt i zawiadomiono mnie oczywiście o tym. Dostarczyłem prasie tej wiadomości już następnego dnia przed południem. Ostateczne badanie nie było jeszcze wówczas zakończone. Nie ma to zresztą samo przez się znaczenia, ponieważ tutaj na rozprawie sądowej stwierdzono, zdaje się, że van der Lubbe nie miał legitymacji partyjnej.

Dymitrow: Świadek jest prezesem Rady Ministrów, ministrem spraw wewnętrznych i przewodn czącym Reichstagu, a czy minister ponosi odpowiedzialność za swą policję?

Goering: Tak jest.

Dymitrow: Pytam: co przedsięwziął pan minister spraw wewnętrznych 28 i 29 lutego, albo w ciągu następnych dni, aby w drodze śledztwa policyjnego ustalić szczegóły podróży van der Lubbego z Berlina do Hennigsdorfu, jego znajomość z dwoma innymi osobnikami i w ten sposób znaleźć jego prawdziwych wspólników? Co przedsięwzięła pańska policja?

Goering: Będąc ministrem nie zająłem się oczywiście jak detektyw tropieniem śladów— mam na to moją policję.

Dymitrow: Skoro pan, jako prezes Rady Ministrów i minister spraw wewnętrznych, oświadczył, że podpalaczami są komuniści, że czynu tego dokonała Partia Komunistyczna Niemiec przy pomocy van der Lubbego, jako zagranicznego komunisty — to czy ten pański punkt widzenia musiał stać się wytyczną dla dochodzenia policyjnego, a następnie dla dochodzenia sądowego w określonym kierunku i czy nie musiał wykluczyć możliwości szukania innych dróg i wykrycia rzeczywistych podpalaczy Reichstagu?

Goering: Policja kryminalna ma instrukcje z góry ustalone przez prawo, w myśl których przy każdej zbrodni winna przedsięwziąć śledztwo we wszystkich kierunkach, bez względu na to, dokąd prowadzą, wszędzie, gdzie ujawnione zostały ślady. Ja jednak nie jestem funkcjonariuszem policji kryminalnej, lecz odpowiedzialnym ministrem. Toteż nie tyle miało dla mnie znaczenie ustalenie poszczególnych drobnych rzezimieszków, ile partii, poglądu na świat, który ponosi za to odpowiedzialność. Może pan być spokojny, policja kryminalna bada wszystkie ślady. Moje zadanie polegało na tym, by stwierdzić: czy przestępstwo to pozbawione jest charakteru politycznego, czy też jest to przestępstwo polityczne. Dla mnie było to przestępstwo polityczne. Byłem również przekonany, że przestępców należy szukać w pańskiej (do Dymitrowa) partii. (Potrząsając pięściami w stronę Dymitrowa, krzyczy). Pańska partia jest partią zbrodniarzy, których trzeba wytępić! I jeżeli dochodzenie sądowe dało się skierować na te tory, to były to jedynie właściwe tory.

Dymitrow: Czy wiadomo jest panu prezesowi Rady Ministrów, że ta partia, którą „trzeba wytępić", rządzi na szóstej części kuli ziemskiej, mianowicie w Związku Radzieckm, że ten Związek Radziecki utrzymuje z Niemcami stosunki dyplomatyczne, polityczne i ekonomiczne i że zamówienia Związku Radzieckiego w dziedzinie gospodarczej przynoszą korzyść setkom tysięcy robotników niemieckich?

Goering (do Dyimtrowa): Zabraniam panu uprawiać tu propagandę komunistyczną!

Dymitrow: Pan Goering zajmuje się tu propagandą nacjonalsocjalistyczną! (Zwracając się do Goeringa): Ten bolszewicki pogląd na świat panuje w Związku Radzieckim, największym i najlepszym kraju na świecie i ma tu w Niemczech miliony zwolenników — najlepszych synów narodu niemieckiego. Czy to jest wiadome...

Goering (krzyczy): Powiem panu, co jest wiadome narodowi niemieckiemu. Naród niemiecki wie, że zachowuje się pan tu bezwstydnie, że przywędrował pan tu, aby podpalić Reichstag. Nie po to jednak tu przyszedłem, aby pan mnie przesłuchiwał jak sędzia i aby pozwolić panu na robienie mi wyrzutów. W moich oczach jest pan łotrem, który winien poprostu wisieć na szubienicy.

Prezes: Dymitrow, powiedziałem już panu, ażeby pan nie zajmował się tutaj propagandą komunistyczną. Nie powinien się pan dziwić, że świadek tak bardzo się uniósł. Zabraniam panu jak najsurowiej tej propagandy. Winien pan zadawać pytania o charakterze wyłącznie rzeczowym.

Dymitrow: Jestem bardzo zadowolony z odpowiedzi pana prezesa Rady Minitsrów.

Prezes: To jest dla mnie obojętne, czy jest pan zadowolony, czy też nie. Odbieram panu głos.

Dymitrow: Pozostało mi tylko jeszcze jedno rzeczowe pytanie.

Prezes (jeszcze ostrzej): Odbieram panu teraz głos.

Goering (krzyczy): Precz stąd, łajdaku!

Prezes (do policjantów): Wyprowadzić go!

Dymitrow (którego policjanci już schwycili): Boi się pan widocznie moich pytań, panie prezesie Rady Ministrów?

Goering (krzyczy za odchodzącym Dymitrowem): Czekajno pan, aż się pan znajdzie poza kompetencją prawną tego trybunału! Łotrze jeden!

*

Dymitrow: Muszę kategorycznie zaprzeczyć, że miałem na celu propagandę. Może być, że moja obrona na sądzie Rzeszy odegrała do pewnego stopnia rolę propagandową. Że moje zachowanie się na sądzie może być przykładem dla oskarżonych komunistów, również i z tym można się zgodzić. Ale nie to było celem mojej obrony. Mój cel polegał na tym, aby obalić oskarżenie, jakoby Dymitrow, Torgler, Popow i Taniew, jakoby Komunistyczna Partia Niemiec i Międzynarodówka Komunistyczna miały coś wspólnego z pożarem.

Wiem, że nikt w Bułgarii nie wierzy w nasz rzekomy współudział w podpaleniu Reichstagu. Wiem, że za granicą prawie nie ma człowieka który by w to uwierzył. Ale w Niemczech istnieją inne warunki. Tutaj takie dziwaczne twierdzenia mogłyby znaleźć posłuch. Dlatego też chciałem dowieść, że partia komunistyczna nie miała i nie ma nic wspólnego z współudziałem w tej zbrodni. Skoro mowa o propagandzie, to wiele przemówień wygłoszonych tutaj miało taki właśnie charakter. Również wystąpienia Goebbelsa i Goeringa wywarły pośrednio wpływ propagandowy na rzecz komunizmu. Nikt jednak nie może ich uczynić odpowiedzialnymi za to, że ich wystąpienia miały taki wpływ propagandowy. (Poruszenie i śmiech na sali).

Nie dość tego, że prasa mnie ze wszech miar lżyła — jest mi to obojętne — ale w związku ze mną nazwano mój naród bułgarski „dzikim" i „barbarzyńskim", nazwano mnie „ciemnym typem bałkańskim", „dzikim Bułgarem". Tego zaś nie mogę pominąć milczeniem.

Prawdą jest, że faszyzm bułgarski jest dziki i barbarzyński. Ale co się tyczy bułgarskich robotników i chłopów, bułgarskiej inteligencji ludowej, to nie jest ona bynajmniej dzika i barbarzyńska. Kultura materialna na Bałkanach stanowczo nie jest tak wysoka, jak w innych krajach Europy, ale poziom umysłowy i polityczny naszych mas ludowych nie jest niższy niż w innych krajach Europy. Nasza walka polityczna, nasze dążenia polityczne stoją w naszym kraju nie na niższym szczeblu niż w innych krajach. Naród, który w ciągu 500 lat znajdował się pod obcym jarzmem i nie zatracił swego języka, ani narodowości, — nasza klasa robotnicza i chłopstwo, które walczyły i walczą przeciwko faszyzmowi bułgarskiemu i o komunizm — taki naród nie jest ani barbarzyński, ani dziki. Barbarzyński i dziki w Bułgarii jest tylko faszyzm. Ale pytam pana, panie prezesie: **w jakim kraju faszyzm nie jest barbarzyński i dziki?**

Prezes (przerywając Dymitrowowi): Nie ma pan chyba na myśli stosunków w Niemczech?

Dymitrow (z ironicznym uśmiechem): Ależ oczywiście nie, panie prezesie..."

— — — — — — — — — — — — — — — — — —

Proces skończył się klęską hitlerowców. Dymitrow został uniewinniony.

W 1934 roku Dymitrow dzięki staraniom ZSRR wyjeżdża do Moskwy. W 1935 r. zostaje wybrany sekretarzem Generalnym Komitetu Wykonawczego Międzynarodówki Komunistycznej. Walczy przeciw faszyzmowi, o front ludowy. Walczy przeciw nadciągającej wojnie. Jest szermierzem wielkiej idei międzynarodowego sojuszu klasy robotniczej pod przywództwem Związku Radzieckiego.

Rok 1944 przyniósł Bułgarii wyzwolenie spod ucisku narodowego i społecznego. Po przeszło dwudziestoletniej emigracji Dymitrow wraca do Ojczyzny.

„Minęły dwadzieścia dwa lata, gdy byłem po raz ostatni na ziemi bułgarskiej — powiedział wówczas do swego narodu. — Wierzcie mi, że przez cały czas, gdziekolwiek byłem, czymkolwiek się zajmowałem, ani na chwilę nie przestawałem walczyć o przyszłość, szczęście i dobrobyt naszego narodu."

Dzięki rozumnej i dalekowzrocznej polityce Dymitrowa i Bułgarskiej Partii Komunistycznej — Bułgaria weszła do bloku państw walczących o socjalizm i pokój.

Wielkie, rewolucyjne było życie Dymitrowa. Od wczesnej młodości do śmierci służył i przewodził z oddaniem i poświęceniem klasie robotniczej. Był symbolem proletariackiego, rewolucyjnego bohaterstwa i nienawiści do burżuazji, imperializmu, faszyzmu, nenawiści do oportunizmu i zdrajców proletariackich. Nie dziw, że trockiści titowscy przeciw niemu skierowali w wielkiej mierze ostrze swych ataków, nie dziw też, że zdrajcy klasy robotniczej różnego autoramentu darzyli go nienawiścią.

Idea Dymitrowa zwyciężyła i bezustannie zwycięża.

Rozpoczął swą działalność rewolucyjną u początków ruchu robotniczego, w czasach jego początkowego formowania się — odszedł w chwili, gdy demokrację ludową i socjalizm ogarnęły wielomilionowe masy Europy i Azji — a wielka idea Marksa—Engelsa—Lenina—Stalina coraz jaśniejszym płomieniem rozbłyska nad narodami.

W NUMERZE 28 (207) TYGODNIKA „WIEŚ"

z dnia 3 lipca 1949 r.

Stefan Ignar — Ofensywa na froncie kultury; — Georgi Dymitrow; **Bronisław Chęciński** — Komunikaty wierszowane: Dzieci nieślubne, Inaczej, Lot nad polami, Egzamin, To nieprawda, że...; **Jan Maria Gisges** — Żywa tradycja; — O położeniu klasy wyrobniczej w Anglii; **Anna Kamieńska** — W kręgu „Niepokoju"; Lesław M. Bartelski — wiersz * * *; **Wanda Leopoldowa** — Jakiego Mickiewicza znamy? — Pamiętnik czy lamus?; Wydanie narodowe dzieł Adama Mickiewicza; **Krzysztof Wysławski** — Metoda psychologiczna; **Mariusz Margal** — „Ulica graniczna"; Konstanty Treniew — „Lubow Jarowa"; **Paulina Czyżowa** — Amatorski teatr robotniczy; **Jakub Wojciechowski** — Kartki z kalendarza; **Jan Huszcza** — Satyra i humor przed publicznością; **Leszek Kołakowski** — Nauka przed sądem obskuranta. Fakty i zdania; 18 ilustracji; 12 stron.

Maria Żmigrodzka

SPOJRZENIE NA WOJNĘ

NADZIEJE I WRÓŻBY

Powieściowy debiut Juliana Gałaja z r. 1946 przyjęty został przez krytykę literacką z surową życzliwością. Mimo dierpkich niejednokrotnie zastrzeżeń nautry formalnej, mimo przestróg formułowanych bez ogródek, a nawet wyrazów obawy wobec niebezpieczeństwa manieryzmu artystycznego, podkreślano z pełnym uznaniem niewątpliwe wartości mystkowickiej trylogii. Powszechnie wróżono, że dalsze tomy cyklu Gałaja, pisane pod patronatem krytyki społecznej, powstające w warunkach postępowej krystalizacji ludowej myśli politycznej, wolne będą od wykazanych usterek, natomiast w pełni rozwiną elementy uznane za cenny pozytyw „Mystkowic".

IV tom powieści Gałaja *), zapowiedziany jako książka o wojnie polsko - niemieckiej 1939 r., stanowić mógł próbę ideologicznego wyrobienia autora, próbę pełnego opanowania lub przezwyciężenia swoistej metody artystycznej wcześniejszych części. Ukazanie bliskiego a trudnego do intelektualnego opanowania wycinka historii stało się egzaminem dojrzałości tego ambitnego zamierzenia literackiego.

„Wojna" jest jednak wśród dotychczas wydanych tomów pożycją niewątpliwie najsłabszą. Nosi cechy ideologicznego regresu i artystycznego manieryzmu. Ideologicznie jest zlepkiem kilku sprzecznych koncepcji, artystycznie doprowadza ryzykowną, lecz swoistą formę powieściową do granic nieczytelności.

Zygmunt Lichniak krytykując ostro w „Dziś i jutro" powieść Gałaja, uznał za główną wadę „Mystkowic" górującą rolę nurtu politycznego („rozpolitykowanie") przy jednoczesnym braku realiów chłopskiego życia („brak Reymonta"), nieobecność zwartej konstrukcji fabularnej i niechlujstwo językowe. Z tezami prymitywnej „analizy formalnej" Lichniaka, skonstruowanej dla uderzenia w radykalną powieść chłopską, polemizowaliśmy już na właściwym miejscu („Fakty i zdania"). Tu należałoby podkreślić, że nie wyjaśniają one uderzającej niższości „Wojny" w stosunku do tomów poprzednich. Słabość IV tomu „Mystkowic" nie płynie z „rozpolitykowania" ani z językowych usterek. W sposób decydujący zaważyła tu koncepcja wojny, leżąca u podłoża książki.

DWIE WOJNY

Wojna polsko - niemiecka z IV tomu ukazana została nie w izolacji, nie jako zupełnie nowe zjawisko społeczne. Mystkowiacy próbują znaleźć drogę do zorientowania się w chaosie dni wrześniowych, konfrontując niepojęte wydarzenia z doświadczeniem sprzed lat dwudziestu; próbują opanować poznawczo lęk przed dziwną wojną przez zakwalifikowanie jej jako rzeczy znanej, przymierzanie do dawnego obrazu wojny. „W minioną wojnę trwała tam bitwa na bagnety i teraz trwała... W minioną wojnę leżały trupy z powypuszczanymi bebechami i teraz napewno leżą..." Ale Gałaj jednym ze środków opisu nowego zjawiska uczynił kontrastowanie go z dotychczasowymi pojęciami o wojnie i wykazanie, że odbiega od dawnych schematów, że stanowi fakt z niczym nieporównalny. „Bywały na polskiej ziemi walki od stulci całych i nie przestawały bywać. Ale czy wszystkie wojny razem wzięte dorównają tej jednej? W takiej formie historia jeszcze się nie ujawniła, takich wyczynów rozum ludzki jeszcze nie zdziałał dotąd".

Podkreślano niejednokrotnie — niezależnie od recenzenckich pretensji z lewa i z prawa co do wzajemnego ustosunkowania się partii fabularnych i komentatorskich — że obraz pierwszej wojny światowej z tomu „Paweł Łękis" wmontowany został poprawnie w konstrukcję losów gromady mystkowickiej. To, co Mystkowiacy zdołali dostrzec i przeżyć z zakresu doświadczeń, jakie niosła nowa sytuacja polityczna, i te wiadomości ogólne, jakie tworzyły schemat sytuacji światowej na użytek chwytającej wieści gromady, a co autor dawkował czytelnikowi w partiach „po mystkowicku" stylizowanego komentarza — to nie tylko składało się na pełny, choć opracowany w najgrubszych zarysach obraz świadomości politycznej chłopa i jego ustosunkowania do tego zjawiska dziejowego, ale także ustalało wierne relacje między wojną a sprawami gromady, wyznaczało miejsce mystkowiaków w mechanizmie 4 lat wojennych. Pierwsza wojna światowa została w pełni wpisana w życie gromady, a ukazana w perspektywie mystkowickich opłotków nie straciła nic z dynamiki wielkiego faktu dziejowego. Mechanizm jej, choć sprowadzony do przebiegów odczuwalnych na skórze chłopa, ukazany został w proporcjach właściwych. Cztery lata wojny, jakie przeżyli mystkowiacy, pozwoliły na powolne i życiowo prawdopodobne konkretyzowanie się spraw wojny, na powolne narastanie jej obrazu w procesie życiowych doświadczeń, bez dokonywania sztucznych skrótów historiozoficznych, bez zbyt intensywnego „dopychania" faktów znanych z fabuły sztucznie przykrojonym komentarzem autorskim. To, co Gałaj dopowiedział do obrazu I wojny światowej, było skrótem dostępnych mystkowiakom komunikatów o sytuacji wojennej — nie skrótem teorii historiozoficznych czy referatów o skomplikowanych przebiegach politycznych, których nie można było ujawnić w narracji o gromadzie. Czteroletni okres wojenny w życiu Mystkowic pozwolił dać zróżnicowany społecznie obraz zależności wsi od machiny wojennej. Na podstawie danych fabularnych możemy ujmować wojnę jako zjawisko pełne dynamicznego napięcia; ze schematu fabularnego wynikały perspektywy dalszego układu społeczno-politycznego związane nierozłącznie z przebiegiem wojny.

*) Julian Gałaj, „Mystkowice wioska mała", część czwarta — „Wojna"; „Książka" 1949.

Pomoc sąsiedzka Fot. Kraska

Tom czwarty zawiera na bezmała 300 stronicach druku historię września 1939 r. Dysproporcja rażąca: w poprzednich 3 tomach omówił Gałaj dzieje dwudziestu paru lat życia wsi, a ostatni poświęcił dwudziestu paru dniom klęski.

Przed recenzentem staje konieczne do rozwiązania zagadnienie, jakim elementom ideologii autorskiej zawdzięcza ten okres historyczny wagę predestynującą go do zapełnienia tomu; na jakich zasadach dokonano selekcji faktów i uznano wrzesień 39 r. za czas zamknięty, tłumaczący się w pełni sam przez się, należycie wyizolowany i godzien literackiego monumentu. Jaka koncepcja wojny leżała u podłoża IV tomu „Mystkowic"?

Wojna lat 1914 — 1918 z I tomu powieści było to szerokie zjawisko społeczno - ekonomiczno - polityczne, nie zacieśnione do marginesowo ukazanych operacji wojennych. Wojna września 39 r. to u Gałaja miesiąc piekła na niebie i ziemi, okres zamętu, bezradności i strachu. Wszystko, co Gałaj chciał wyłożyć ponadto, cała wiedza o wojnie jako zjawisku społecznym, dopowiedziana została w komentarzu lub w monologach rezonerów, a co gorsza — nie została podbudowana, udowodniona obrazem opisanego świata. Nic w czwartym tomie nie ukazuje bliżej procesów społecznych, o których wygłasza się oderwane exposé. A przecież bez naciągania faktów można było wmontować sprawę faszyzmu w krąg bezpośrednich doświadczeń mystkowiaków (narzucają się tu choćby sprawy endeckiej agitacji, choćby historia antysemityzmu). Ideologicznego punktu ciężkości nie można umieszczać w komentarzu. Komentarz może tłumaczyć i podkreślać, ale nie buduje powieści. Tom czwarty buduje zaś nie przystające ideowo partie komentarza i narracji. Komentarz „otwiera horyzonty" — narracja zawiera szkic sytuacji militarnej w tych wymiarach, w jakich można ją dostrzec na polach Mystkowic, a więc w wymiarach bezładu, gdzie obie strony początkowo odczuwają strach i nie bardzo wiedzą co robić, a potem w miarę klarowania się sytuacji wojennej strach jest już wyłącznie udziałem bitych, ściganych słabszych.

„Wojna" jest w konsekwencji studium o strachu, bezradności, zamęcie. Konstrukcja fabuły przeczy formułkom komentarza, zamiast poznania daje męczącą, ekspresjonistyczną wizję miesiąca piekła i strachu. Zabójcza monotonia oślepłych, bezcelowych wędrówek w ucieczce przed własnym lękiem to ostateczne wrażenie, jakie pozostawia czwarty tom „Mystkowic".

Na książce Gałaja zaciążyła tradycja widzenia wojny narzucona przez schyłkową, mieszczańską literaturę wojenną, ukazującą wielki egzamin zwierzęcia ludzkiego, próbę, która odkłamuje pozorną wielkość człowieka, wyłuskuje ze społecznie chroniącego kostiumu ustalonych obyczajowo schematów zachowania się, sprowadza człowieka do najprostszych instynktownych odruchów. Drogą tą poszedł i Gałaj. Zrezygnował z głębiej wmontowanego w powieść społecznego uwarunkowania zachowania i przeżyć bohaterów. Ukazał „ludzki" strach i „ludzką" bezradność. Mieszczańska koncepcja „szary człowiek a wojna" zemściła się boleśnie na książce. Możliwości psychologicznej indywidualizacji „ludzkich" uczuć są ubogie, obfitość studiów srachu, jakie przynosi „Wojna", nie dodaje już niczego nowego, gubi tylko powieść monotonią i schematyzmem.

W czwartym tomie cyklu powieściowego Gałaja ujawniły się w pełni skutki kwestionowanego już przez recenzentów poprzednich tomów braku prawdziwego, pozytywnego bohatera tej politycznej powieści. Obaj Łękisowie — ojciec i syn mimo dalej posuniętego teoretycznego radykalizmu społecznego Bolka, należą do tej samej, typowej dla powieści kategorii polityków bez teki, mędrków i komentatorów, którzy nie są związani silnie z żadnym ruchem politycznym. Rozmowy w domu Łękisów — mystkowickim klubie politycznym — są dlatego jałowymi perorami politycznie marginesowych elementów wsi. Bolek, komunista „in partibus infidelium" ma monopol na jasnowidzenie polityczne i w dniu 1 września 39 r. przepowiada Polskę Ludową. I ta jednak postać prowadzi podwójną egzystencję powieściową: nieomylnego proroka nowych czasów luzuje wystraszony cyklista poszukujący — mimo pewnych nie nazbyt palących ambicji wojackich — mysiej dziury dla siebie i swoich. W ostatniej książce Gałaja wymieniają się dwie koncepcje wojny: psychologistyczne demaskowanie ludzkiego zwierzęcia i socjologiczny obraz bezradności prymitywnej grupy społecznej wobec przejawów wyższej techniki i wyższych form organizacyjnych.

Ten „socjologizm" nie wystarcza. Wieś nie występuje — poza wspomnianymi już mędrkami — jako jednostka skrystalizowana politycznie. Niknie świat „kameleonów" zarysowany w poprzednich częściach, nie widać śladów politycznych „krystalizacji".

W odmętach nowej Apokalipsy, panującej we wszystkich partiach kisążki poza komentarzem, kruszy się Polska sanacyjna. Ale ten proces egzemplifikuje Gałaj tylko na fragmentarycznej historyjce o łowickim staroście.

NĘDZA ARYTMETYKI

Książka o wrześniowej klęsce, traktowanej jako oddzielny temat, odseparowanej od 4 lat okupacji, w czasie których dopiero w pełni ujawniło się oblicze wojny, mogłaby mieć w jednym tylko wypadku głębokie uzasadnienie ideologiczne i artystyczne: gdyby była powieścią o rozkładzie sanacyjnej machiny państwowej, o upadku narodu kierowanego przez klikę.

Nie jest to jednak założeniem Gałaja. Centralny problem stanowi podobnie jak w tomach poprzednich sprawa Mystkowic. One są soczewką rzucającą światło na wycinek historii. Nasuwa się tu zagadnienie adekwatności soczewki, zagadnienie właściwego wyboru punktu obserwacji, właściwego wytypowania strzępu historii, jaki dostrzec należy z mystkowickich opłotków. W poprzednich tomach Mystkowice miały reprezentować sprawę chłopa polskiego, sprawę ruchu ludowego, budzenia się politycznego i kulturalnego wsi. Mimo recenzenckich grymasów Mystkowice były w pełni uprawnionym punktem obserwacji; treść społeczna mystkowickiego życia zawierała aż nadto danych na zbudowanie sytuacji typowych, naszkicowanie centralnego konfliktu społecznego obranego wycinka rzeczywistości. W „Wojnie" zmieniono jednak proporcje. Losy mystkowiaków reprezentować miały już los narodu. („Nawet te ryby zatrute jadem z włókna lnu moczonego w Chuplikowych jeziorach nie krążyły po wodzie takie ogłupiałe, jak mystkowiacy, bocheniaki i w ogóle wszystkie, żyjące w Łowickiem a może i w całej Polsce jednostki..."; „Bezradność rozsiadła się po wszystkich wioskach Księstwa Łowickiego, a być może po wszystkich wioskach polskiego kraju..." itp.). A więc Polska to tysiące małych Mystkowic; Mystkowice to miniatura kraju; nieporadność chłopów i zamęt okolicznych dróg to sytuacja napastowanej ojczyzny.

Rygorystycznie naogół przestrzegany punkt obserwacji został narzucony wyjątkowo dla Warszawy, gdzie zagnał mystkowiaków rozkaz ewakuacji niezmobilizowanych mężczyzn. Warszawa nie różni się jednak wiele od Mystkowic; chyba tylko rozmiarami klęski i ruiny niesionej przez niemieckie bomby. Tak samo strach i chciwość — dwie psychologiczne dominanty określają zachowanie się człowieka. Tak samo rabuje egoista bez sumienia a wstrzymuje się od hańbiącego czynu człowiek szlachetny. Zawiłe sprawy wielkomiejskiej stolicy kraju ukazane zostały na miarę przyjętą dla Mystkowic jako jednego z wielu zakątków polskiej ziemi. W tym momencie typizacja zawiodła. W kategoriach spraw mystkowickich nie sposób oceniać skomplikowanych spraw całości państwowej. Zbyt wiele rzeczy pozostaje wówczas poza zasięgiem literackiego symbolu.

Obrazu Polski nie można zbudować przez zsumowanie tysięcy „Mystkowic". Podobnie — nie otrzymamy płaszczyzny przez dodanie leżących na niej punktów. Tu zawodzą prawa arytmetyki. Tylko wyższa matematyka społeczna pozwoli zrozumieć prawo rządzące bardziej skomplikowanym układem niż „wioska mała" z okolic Łowicza. Mystkowice nie są kluczowym punktem tego układu. Gałaj próbuje referat o całościowym układzie państwowym przemycić w komentarzu, ale tu powtarza się typowe dla książki zjawisko: komentarz pochodzi z zewnątrz; to, co zostało powiedziane, nie przylega do tego, co zostało ukazane. Wróćmy do czterech działań konstrukcji artystycznej: jeden i jeden daje dwa nieskoordynowane elementy — narrację i komentarz, które nie tworzą wyższej jedności — pełnego literackiego obrazu życia.

HISTORIOZOFIA

Komentarz autorski utrzymany jest niezmiennie w mowie pozornie zależnej. Ten chwyt stylistyczny posiada u Gałaja wymowę dwojaką. Przede wszystkim dąży do zatarcia obcości komentarza przez stworzenie fikcji doświadczenia i sformułowań mystkowickich. Zrzucenie na mystkowiaków odpowiedzialności za wypowiadane sądy, komentujące sytuację polityczną, budzi tym większe zastrzeżenia ,że Gałaj operuje tu historiozofią wykraczającą poza możliwości umysłowe mystkowiaków.

Gałaj nie rozwiązał konsekwentnie trudnego zagadnienia stosunku między wiedzą autorską a wiedzą postaci powieściowych. Wiedza autorska, pełna i nieukrywana, nie posługująca się fałszywym kostiumem robionej naiwności, ujawniać się winna tylko w zorganizowaniu świata literackiego, nie zaś w formie partii rezonerskich niezręcznie wmontowanych w wypowiedzi osób działających, partii sztucznych i nieprawdopodobnych w ich ustach, ani też w formie mechanicznie doczepionego autorskiego referatu.

Gałaj w komentarzu popełnia te dwa błędy. W momencie wybuchu wojny Bolek wygłasza proroctwo o natychmiastowym końcu starego porządku; nieustannie zaś komentarz Gałaja snuje kombinacje historiozoficzne, które podcinają ideologicznie powieść i wywołują wewnętrzne sprzeczności książki. Obok momentów dużej świadomości ideologicznej, obok poprawnego widzenia mechanizmu współczesnego świata, w obrazach wojennej grozy pojawia się mętna mitologia wiecznie czekającego potwora germańskiego: „Wróg na śmierć i życie, wróg, który zdążył już pokazać co umie i czego chce, wróg, który przysiągł zgubę każdemu innemu — nie germańskiemu plemieniu, wróg, który czyhał na Polskę tysiąc przeszło lat i który nie pominął żadnej okazji poszerzenia swych granic kosztem Polski"; „Byli — zdawało się — napęczknieli po brzegi swych ciał teutońskich furią, która od tysiącleci szukała ujścia — między innymi kierunkami — w kierunku narodów słowiańskich". Mimo aluzji do społecznego oblicza faszyzmu i jego związków z wielkim kapitałem, mimo szerokich peror o imperializmie i militaryzmie raz po raz gubi Gałaj jasność historycznego widzenia oblicza wojny wielkiego i maleńkiego faszyzmu. Rzekome głębie perspektyw „tysiącleci" stwarzają fałszywe, idealistyczne sugestie doniosłości „charakteru narodowego", wrodzonych nieprzyjaźni między narodami. W momentach tych komentarz przybiera charakter patetycznych okresów retorycznych, wyjątkowo trudno strawnych na przestrzeni tego tomu.

EPOS I GADKA

Zwracano już uwagę w rcenzjach powieści Gałaja na oboczne współistnienie różnych typów i stylów narracji. Pełne rozmachu i zacięcia narratorskiego plotkarskie gadki o sąsiadach graniczą z artykułami publicystycznymi, notatkami kronikarskimi a nawet dość skomplikowanymi stylizacjami, operującymi mitologiczną machiną bóstw antycznych. Wyprowadzano ten chwyt słusznie z chęci stylizacji epickiej — dźwignięcia opisywanych zjawisk do rzędu spraw wielkich i ważkich, godnych epopei.

Gałaj zajmuje wobec Mystkowic postawę moralisty-karciciela. Rozczarowania dynastii Łękisów formułują wyrok na marazm i ograniczoność wsi. A jednak to właśnie ten potępiony przez ideologa świat zajmuje na kartach książki mocno ugruntowaną pozycję. Jego sprawy wytyczają krąg zagadnień żywy i pasjonujący, od których trudno się oderwać czytelnikowi i autorowi.

Bitwy mystkowickich i urzeczackich podkawalerczaków notuje Gałaj z niemniejszym przejęciem niż Grecy sprawy boskich świniopasów w starożytnych epopejach. Kronos, któremu Gałaj wyznacza rolę obserwatora spraw Mystkowic, nie wygląda paradoksalnie jako patron tego bujnego życia. Stylizacja mitologiczna traktowana konsekwentnie i solidnie przepracowana artystycznie mogłaby dać ciekawe i oryginalne wyniki przy utrzymaniu zasadniczej koncepcji mystkowickiej gromady, panującej w częściach poprzednich. Kontynuowana w tomie czwartym jest już tylko dekoracyjnym sztafażem, szczudłem, podpierającym polityczną stylizację partii odautorskich.

„Bohaterskie" wymiary postaci mystkowiaków zostały bowiem zagubione w procesie redukcji ich do roli zdemaskowanego przez wojnę zwierzątka.

Jasio Pajda, niezrównana postać „ćworza" z fantazją, którego najbardziej widoczna publicznie klęska nie była w stanie skłonić do spuszczenia z tonu, a który po nalocie na Łowicz jest już tylko żałosnym strzępkiem człowieka — to symbol degradacji mystkowickich „herosów".

Niesposób utrzymać homeryckie tony w powieści, która choć ubocznie zaczepiła o mieszczańskie wzory widzenia historii.

W tomie czwartym zanikła prawie zupełnie jedna z ciekawych artystycznie form Gałajowej prozy — sąsiedzka gadka, zbliżona do ludowych form ustnej narracji. Konstrukcja książki oparta została niemal zupełnie na przeplatance monotonnej kroniki i komentarza. Ta redukcja artystyczna nie wyszła książce na dobre.

Stanisław Marczak - Oborski

ŚWIETLICE CZEKAJĄ NA TEATR

Mamy przed sobą trzydzieści szarych, estetycznie wydanych tomików „Biblioteczki Świetlicowej C. R. Związków Zawodowych". Wydawnictwo Biblioteczki — Zainaugurowane rok temu — zdążyło już rozróść się, zdobyć sobie popularność, zwielokrotnić nakłady. W maju 1948 roku pierwsze tomiki wychodziły w 5.370 egzemplarzach, w październiku nakład tomiku wzrósł do 10.370, w marcu 1949 r. do 15.370, — i ostatnio w maju do 20.370 egzemplarzy. Po wielu dyskusjach, załamywaniach rąk, błądzeniach naoślep — nowy, społecznie przemyślany repertuar teatralny pióra wybitnych pisarzy dla świetlic chłopskich i robotniczych stał się sprawą konkretną. Należy przyznać redakcji Biblioteczki zasługę, że pierwsza ruszyła tę niełatwą sprawę z martwego punktu.

Gdyby sprawa repertuaru świetlicowego była tak prosta, jak nie jest — wystarczyłoby parę powyższych, entuzjastycznych zdań.

KONSPEKT ZAGADNIEŃ

„Biblioteczka Świetlicowa" dała sztuki do grania — ale dała i materiał do dyskusji. Jak cieszyć się wypada z programu roboty i jej niewątpliwego rozmachu — tak musi się też stwierdzić, że żadna z dotychczasowych pozycji nie osiągnęła wymarzonego ideału, nie spełniła wszystkich wymogów społecznych i artystycznych zarazem. Bo też zagadnienie jest niezwykle skomplikowane i wymaga wielostronnego rozpatrzenia. Spróbujmy ustalić pewien porządek dyskusji.

Nasuwa się sprawa repertuaru „przeszłościowego", który spełnia dwa zadania: popularyzuje klasyków literatury, zbliża ich do nowego odbiorcy — a także pokazuje temu odbiorcy historię ruchu robotniczego, historię obyczajowości, kultury itd. W tym punkcie dyskusji mieści się paląca kwestia utworów z epoki pozytywizmu.

Następnie sprawa stosunku ilościowego i... jakościowego sztuk historycznych (w bliższym i dalszym sensie) — do sztuk współczesnych, które jak się wydaje, powinny zajmować poczesne miejsce.

Dwie kwestie wynikające z konkretnego zamówienia odbiorcy masowego: sprawa repertuaru rozrywkowego (tzn. opartego na elementach komizmu) i sprawa pozytywnego bohatera, którego widz pragnie spotkać w każdej sztuce.

Dalej: wartość społeczna i artystyczna przeróbek z utworów nie pisanych na scenę, stopień ich praktycznej przydatności z punktu widzenia możliwości realizacyjnych i atrakcyjności teatralnej dla zespołów świetlicowych.

Wreszcie kwestia komentarza ideologicznego do każdej ze sztuk w dwu ujęciach: w dołączonym wstępie krytycznym i w sposobie inscenizacji samego tekstu.

Istnieje jeszcze zagadnienie stosunku przeróbek do oryginalnych utworów literackich, z których powstały. Twórcy adaptacji scenicznych wprowadzają bowiem do sztuk postacie nieznane autorowi, sens innych postaci zmieniają, przerabiają fabułę, aż do zmiany jej rozwiązania włącznie. Jest to jednak sprawa obszerna i specjalna, nie będziemy jej tutaj rozpatrywać, ograniczając się do omówienia kształtu, w jakim utwory zostały podane.

LEKCJA HISTORII *)

Może to wyglądać na paradoksalny dowcip, ale spróbujmy nauczyć się historii z trzydziestu tomików „Biblioteczki Świetlicowej".

Do dziewiętnastego wieku nie działo się nic szczególnego. Cały ten szmat dziejów reprezentują tylko „Intermedia plebejskie", wesołe historyjki oparte zresztą na egzotycznym humorze (motywy wschodnie, chińskie, greckie). Dalej — okres wojen napoleońskich; poznajemy stracone złudzenia i bankructwo dążeń społecznych legionistów (dwa utwory Żeromskiego). O Wiośnie Ludów dowiadujemy się półgębkiem z Jeżowego „Szandora". O wojnie francusko-pruskiej — z krwiożerczego Maupassanta. Zato na dobre zatrzymano nas na okresie pozytywistycznym — aż 10 pozycji repertuarowych. Czasy to niewątpliwie ważne, ale w każdym wypadku pokazywane jednostronnie — wyłącznie jako lata ucisku ciemnych, zaszczutych chłopów i robotników. Do tej kwestii wypadnie nam zresztą jeszcze powrócić.

Odgłosy rewolucyjne pojawiają się dopiero w repertuarze dwudziestowiecznym i to tylko od strony nieuświadomionych akcentów buntu (Strug) i solidarności więźniów politycznych („Spacer więzienny"). Wreszcie o Rewolucji Październikowej mówi inscenizacja „Dobrze" Majakowskiego. Okres międzywojenny pokazany jest wyłącznie przez pryzmat środowiska kapitalistycznego—pewnych siebie wyzyskiwaczy, przed którymi czasem tylko przesunie się widmo mściwego proletariusza (Priestley, Sinclair, Pietrow). Drugą (bo o pierwszej nie wiemy) wojnę światową oglądamy w towarzystwie mieszczuchów francuskich. Jedni z nich zachowują się patriotycznie, słuchając czasem radia londyńskiego (Aragon) — drudzy mniej patriotycznie (Salacrou). Z atmosferą walk radziecko-niemieckich trudno się zapoznać z nieudolnie skomponowanych fragmentów „Szosy Wołokołamskiej".

A dzisiejszość? Trzy szczuplutkie objętościowo pozycje. Skecz Lachowicza propaguje osiedlanie się chłopów na Ziemiach Odzyskanych. Scenka Bratnego pokazuje solidarność gromadzką biedoty wiejskiej. Akcja „Przyjaźni" Gorbatowa rozgrywa się w Związku Radzieckim, ale na dobrą sprawę mogłaby się dziać gdziekolwiek.

Kusa historia. Nie idzie oczywiście o żart. Nie idzie też o to, żeby z Biblioteczki Świetlicowej robić podręcznik. Warto jednak, żeby redakcja uświadomiła sobie pewne braki w popularyzowaniu najważniejszych postaci i wydarzeń, warto, by repertuar komponowano i pod tym kątem widzenia.

ZACNI POZYTYWIŚCI

Niepokoi trochę ogromna przewaga liczebna przeróbek z literatury pozytywistycznej. Zdajemy sobie sprawę ze szlachetności i artyzmu pisarzy tego okresu, z ich zapładniającej roli w dziejach pisarstwa realistycznego. Nie wiemy jednak, czy rozpaczliwe, rozdzierające sceny „Dziurdziów", „Szkiców węglem", „Nadziei" (późniejszej, ale bliskiej duchem) — są najlepszą pożywką dla dzisiejszego widza świetlicowego. Drażniąca jest ckliwa filantropijność autorów, traktowanie wyłącznie jako godnych litości ofiar, brak szerszych perspektyw rozwojowo-historycznych, niedostrzeganie narastających sprzeczności i dynamicznej fali buntu. Bohaterami proletariackimi są tu z reguły takie postacie, jak: zabobonni, beznadziejnie ciemni chłopi (Orzeszkowa, Sienkiewicz), wyzyskiwane szwaczki i służące (Prus, Witkiewicz), żałośni starcy i sieroty (Konopnicka). Jedynego uświadomionego robotnika — do tego majstra — spotykamy w „Powracającej fali", w której dochodzą za to do głosu inne jeszcze charakterystyczne dla pozytywistów akcenty światopoglądowe. Oto nieludzkiego fabrykanta spotyka kara... ale ze strony przeznaczenia. Mistyczna „dziewiąta fala" krzywdy powrca i zabiera mu syna, rozum i fabrykę. Nie usiłuję kpić z wielkiego Prusa. Pragnę tylko podkreślić, że pewne rzeczy zrozumiałe i usprawiedliwione logiką artystyczną w oryginalnym utworze pisarza — w przeróbce scenicznej, pokazane przez żywych, działających aktorów — dekonspirują swoje słabości i niedomyślenia. Gorzej jeszcze wygląda „Zośka Galicka" Witkiewicza. Obawiam się, że większość widzów potraktuje ją jako niedojdę, a przy tym — co tu mówić — złodziejkę. Innych drażnić będzie ckliwa świątkowatość tej postaci.

Należy sobie zdawać sprawę jeszcze z jednej rzeczy. Sztuki pozytywistyczne w wielu wypadkach będą grane w warunkach świetlicowych we współczesnych strojach i dekoracjach. Trzeba dużej finezji reżyserskiej i aktorskiej, żeby historycznie potraktować np. „Bywa i tak na świecie" czy początkowe sceny „Dziurdziów". Stąd możliwość bezsensownych i anty-wychowawczych nieporozumień.

Podkreślam raz jeszcze: nie myślę o wyrugowaniu utworów z doby pozytywizmu. Wydaje się jednak ryzykowną rzeczą czynienie z nich zasadniczej bazy repertuarowej. Wydaje się konieczne dodanie komentarza wyraźnego dla widza. Ale o tym będzie jeszcze mowa nieco dalej.

JEDEN SPRAWIEDLIWY

Wielkim głosem wołamy o sztuki świetlicowe z dzisiejszego, prawdziwego życia. Może dałoby się zaadoptować niektóre pozycje z repertuaru teatrów zawodowych? Może Kruczkowski, Dybowski, Wirski? Może inscenizować współczesne powieści i utwory poetyckie?

W omawianej „Biblioteczce" sprawa ta przedstawia się niepokojąco. „Gospodarz — to ja!" Lachowicza częściowo zdezaktualizowany, słaby literacko (koncepcja chłopa i dowcip trochę w guście sztuczek anczycowego chowu), zepsuty sceną pijaństwa, która przekreśla sens „nawrócenia" bohatera.

W końcu jedyną właściwie pozycją jest jednoaktówka Bratnego: „Pobita kra", napisana z talentem, interesująca, przedstawiająca żywy, nie wykoncypowany konflikt.

Świetlice czekają na współczesnych pisarzy! Słuszność tego powtarzanego często okrzyku unaocznia się raz jeszcze.

ŚWIAT CHCE GRAĆ KOMEDIĘ...

Trochę statystyki. W „Biblioteczce" znajdujemy dwanaście pozycji o posmaku wybitnie tragicznym (siekiery, trupy, podpalenia plus siedem grzechów głównych) — i tylko siedem pozycji komediowych. Proporcja nienajszczęśliwsza. Liczne doświadczenia wykazują, że widza najłatwiej do teatru przyciągnąć śmiechem. I tego śmiechu naprawdę potrzeba. I tyle mamy rzeczy do wyśmiania.

A tu jeszcze nawet te nieliczne komedie świetlicowe wzbudzają często zastrzeżenia — do tego poważne. „Intermedia plebejskie" są na ogół bardzo zabawne. Ale jedno z nich („Jak Jorgos okpił świętego") przedstawia tryumfującego, bezkarnego rzezimieszka. Przy tym koniokrada — a więc złodzieja najbardziej przez wieś znienawidzonego. Sądzę, że utwór ten nie powinien być grany.

W zbiorku żartów Czechowa zamieszczono „końskie nazwisko", którego cały dowcip polega na wyśmiewaniu się z czyjegoś tam nazwiska. Nieprzyjemne. I na przykład na wsi nie spotyka się z uznaniem.

„Jubileusz" z tego samego tomika jest znakomitą — ale typowo kabaretową jednoaktówką, wymagającą specyficznego sposobu i tempa gry.

*

„Plotka" pani Gregory, acz napisana w XIX wieku, przyjęta będzie jako utwór współczesny. Ciekawe przy tym, jak widz zareaguje na ośmieszenie postaci głupawego komendanta milicji.

Trzeba przyznać, że w repertuarze „Biblioteczki" są i dobre komedie. Na przykład intermedium „Pielgrzym łgarz", czy „Kameleon" Czechowa. Zręcznie powiązano motywy komediowe i poważne w przeróbce „Nawróconego" Prusa. Udało się trafnie odmityzować piekło przez ukazanie go w wymiarze humorystycznym.

Sądzę, że w „Biblioteczce" można by dawać pewną ilość dobrych komedii, choćby nawet pozbawionych dosadnego „wydźwięku" (jak z dotychczasowych „Oświadczyny" Czechowa).

GŁOS MAJĄ UCZENI W PIŚMIE

Każdą sztukę „Biblioteczki" poprzedza komentarz krytyczny oświetlający rolę autora w historii kultury i analizujący jego poglądy społeczne. Wstępy te — z reguły trafne — pisane są jednak na poziomie „licealnym" i stąd przeznaczone, jak się wydaje, raczej dla reżysera zespołu niż dla publiczności. Podane są też zazwyczaj w formie suchego referatu, a więc słabo przystosowane do ewentualnego wygłoszenia przed spektaklem. Tymczasem, jak widzieliśmy w wypadku pozytywistów, sztuki wymagają komentarzy. Przydałyby się również w wypadkach, gdy grana sztuka jest wyjątkiem z większej całości (np. „Sułkowski"), lub kiedy mówi o postaci historycznej, ukazanej fragmentarycznie (np. Feliks Dzierżyński w „Spacerze więziennym"). Próby włączenia komentarza do dialogu dały na razie wyniki raczej kiepskie. W ostatniej scenie „Dziurdziów" zjawia się ni stąd ni zowąd nowa postać: robotnik wygłaszający parę bombastycznych zdań o... Polsce Ludowej. Chwyt prostacki i nie przemyślany artystycznie.

W „Bywa i tak na świecie" stało się jeszcze gorzej. Autorka przeróbki chcąc podkreślić satyryczną karykaturalność akcji, każe w zakończeniu sztuki rozmawiać dwu postaciom o świecie jako o wielkim szpitalu wariatów. Morał — w sztuce opartej całkowicie o elementy realistyczne — arcy społeczny.

Zjawia się więc jeszcze jeden problem: udramatyzowania komentarza. Można to zrobić przez inteligentnie przemyślanego rezonera, wybranego spośród figur utworu. Można by jeszcze raz spróbować „sądu nad bohaterami sztuki", dokonywanego po przedstawieniu, czy właśnie na odwrót — przez dopisanie dosadnego i teatralnie potraktowanego wstępu — prologu z prezentacją postaci. W ostatecznym razie trzeba pisać owe komentarze tak, aby mogły pełnić rolę atrakcyjnych referatów przed sztuką. Oprócz tego należałoby też dać encyklopedyczno-krytyczne oświetlenie problemu dla reżysera świetlicowego. Warto by również — w niektórych przynajmniej wypadkach — dołączać bibliografię książek związanych z autorem i sztuką.

TO TRZEBA BĘDZIE GRAĆ W ŚWIETLICACH

Musimy pamiętać, że omawiane utwory są nie tylko dziełami literackimi, ale zarazem tekstami przeznaczonymi dla sceny. Czy teatralizacja prozy jest właściwa? Ostateczną odpowiedź na to pytanie da praktyka świetlicowa. Ale i przy lekturze można poczynić pewne spostrzeżenia. A także wyciągnąć morał: autorami przeróbek powinni być pisarze z prawdziwego zdarzenia. Nowela Koczyńskiego bije na głowę walorami literacko-nopnickiej udramatyzowana przez Nowa-teatralnymi pozostałe pozycje. Przeróbki „Nawróconego" Prusa (dokonał Władysław Smólski) i „Szandora Kowacza" (dokonał Mieczysław Parandowski) zdradzają od razu pióra pisarzy. Należy jeszcze wymienić wartościowe scenicznie przeróbki „Powracającej fali" (udramatyzowała Bolesława Hajdukowicz) i „Szkiców węglem" (Stanisław Średnicki).

Oprócz tekstu do grania „Biblioteczka" daje jeszcze wskazówki inscenizacyjne. Nie warto się rozwodzić nad drobnymi potknięciami ich autorów (np. przy okazji „Matki Sauvage" przykazuje się aktorom grającym żołnierzy niemieckich chodzić po domu w pikelhaubach; „Intermedia" wschodnie zaleca się grać w strojach chińskich, co skończy się w świetlicy szlafrokową parodią — itp.).

Jest tu sprawa daleko bardziej zasadnicza. I autorzy przeróbek i autorzy wskazówek inscenizacyjnych muszą sobie zdawać sprawę, że pracują nie dla reżyserów teatralnych, a świetlicowych. Egzemplarz sztuki nie może być całkowicie rygorystyczny, powinien zawsze zostawiać możliwości inwencji zespołu, pole do „wstawek", w których manifestuje się zawsze ludowość teatru. Niech egzemplarz sztuki z przypisami za-

*) Patrz dołączona bibliografia.

Jerzy Waleńczyk

DO BUDOWNICZEGO

Powietrze
obracasz jak drzewo
obrąbiesz wyludnioną przestrzeń
popłyną żyły planu
ze źródła którego narodziny
święcą ci co mieszkają w suterynach
Powietrze
podmywa godziny
Układasz obraz gabloty
skąd ludzie kwiaty i koty
ociekać będą szybami
Melodia Euklidesa
po rusztowaniu pnie się
W supeł związane kamienie
sznurują piętra
Rozwinięta ścian tyralierka
Lgnie cegła do cegły
Szwy na ranach
Wojny
A słońce śrubuje cienie do ziemi
Kamień przezroczysty dla ciebie
zastyga w biegu do chmur
Szumi owoc na ziemi dojrzały
Myśl przestaje być myślą
Świder przysycha do dna pięter
Chmury z wapna
bryzgają na ściany
Belki przędziesz w tkaninę
tak
palce na mandolinę się kładzie
Wróżbito gzymsów
balkonów
który w czystym powietrzu odkryłeś linię

wiera dostatecznie sugestywną treść, aby określał charakter utworu i wskazywał linię, po której pójść ma zespół — a nie rozwiązywał do końca każdą sytuację i ustawiał aktora w każdym momencie. Typowym przykładem negatywnym jest inscenizacja poematu „Dobrze" dokonana przez Krasnowieckiego — chociaż bardzo ciekawa i wartościowa dla teatrów zawodowych — grzeszy właśnie przez ową dosłowność komentarza teatralnego brakiem odczucia charakteru sceny świetlicowej.

W miarę możliwości należałoby się starać o sztuki raczej zespołowe niż aktorskie, wymagające doskonale opracowanych kreacji. Bardzo wiele z dotychczas wydanych pozycji opiera się na jednej wielkiej roli wymagającej wytrawnego wykonawcy.

Przykre to, ale trzeba przypomnieć, że dialogi muszą być pisane nieskazitelną polszczyzną. „Córka doskonałej klienteli", „nie poszła na ulicę bezpośrednio" (o upadłej dziewczynie) — itp. kwiatki z „Pana Inspektora" nie powinny się powtórzyć.

NIE CHODZI O AKADEMICKĄ DYSKUSJĘ

Artykuł powyższy nie usiłuje wyczerpać wszystkich zagadnień związanych z „Biblioteczką Świetlicową". Rzuca garść konkretnych uwag polemicznych. Pragnie przypomnieć, że nie obracamy się już na szczęście w kręgu teoretycznych dyskusji. Dzięki akcji C. R. Związków Zawodowych mamy przed sobą trzydzieści tomików sztuk świetlicowych. Robota została rozpoczęta. Należy ją prowadzić dalej jak najlepiej i najszybciej. Świetlice czekają!

Stanisław Marczak-Oborski

BIBLIOGRAFIA „BIBLIOTECZKI ŚWIETLICOWEJ K. C. ZWIĄZKÓW ZAWODOWYCH"

nr 21 — „Intermedia plebejskie", oprac. Zbigniew Kopalko, str. 122;
nr 7 — Stefan Żeromski: „Sułkowski", oprac. Tadeusz Żeromski, wstęp Zdzisława Libery, str. 34;
nr 17 — Stefan Żeromski: „O żołnierzu tułaczu", dramat. Wanda Bruner-Niczowa, wstęp Melanii Kierczyńskiej, str. 40;
nr 19 — Teodor Tomasz Jeż: „Szandor Kovacz" udramat. Mieczysław Guranowski, wstęp Zofii Karpińskiej, str. 69;
nr 16 — Guy de Maupassant: „Matka Sauvage"; adaptacja Łazarza Kobryńskiego, oprac. Bolesławy Hajdukowicz, str. 33;
nr 18 — Bolesław Prus: „Powracająca fala", udramat. B. Hajdukowicz, wstęp M. Kierczyńskiej, str. 93;
nr 5 — Bolesław Prus: „Nawrócony", udramat. Władysław Smólski, wstęp Tecfila Wojeńskiego, str. 48;
nr 13 — Bolesław Prus: „Sukienka balowa", udram. Maria Czanerle, wstęp T. Wojeńskiego, str. 42;
nr 12 — Bolesław Prus: „Bywa i tak na świecie", udramat. M. Czanerle, wstęp T. Wojeńskiego, str. 43;
nr 32 — Eliza Orzeszkowa: „Dziurdziowie", adaptacja Anny Milskiej, wstęp Jana Baculewskiego, str. 70;
nr 15 — Eliza Orzeszkowa: „Niziny", dramat. W. Bruner-Niczowa, wstęp M. Kierczyńskiego, str. 68;
nr 8 — Henryk Sienkiewicz: „Szkice węglem", udramat. Stanisław Średnicki, wstęp Andrzeja Stawara, str. 42;
nr 4 — Maria Konopnicka: „Miłosierdzie gminy" udramat. Adolf Nowaczyński, wstęp Zofii Łuczek-Hoffmanowej, str. 53;
nr 23 — Herman Heijermans: „Nadzieja", inscenizacja Romana Sykały, wstęp B. Hajdukowicz, str. 69;
nr 31 — Stanisław Witkiewicz: „Zośka Galicka", udramat. W. Bruner-Niczowa, wstęp dr. J. Z. Jakubowskiego, str. 35;
nr 20 — Antoni Czechow: „Jubileusz" — „Kameleon" — „Końskie nazwisko", inscen. Wandy Markowskiej, L. Barszczewskiej i B. Milewicza, wstęp Z. Karpińskiej, str. 64;
nr 6 — Antoni Czechow: „Oświadczyny", oprac. M. Czanerle, wstęp Czesławy Wojeńskiej, str. 48;
nr 22 — Augusta Gregory: „Plotka", adaptacja A. Kwiatkowskiej, str. 30;
nr 26 — Andrzej Strug: „Co złe, to w gruzy", adaptacja Włodzimierza Stawa, wstęp A. Stawara, str. 33;
nr 25 — J. German: „Spacer więzienny", inscenizacja Cz. Wojeńskiej, str. 21;
nr 24 — Włodzimierz Majakowski: „Dobrze", opr. Krystyny Barwińskiej i Władysława Krasnowieckiego, wstęp Leona Gomolickiego, str. 61;
nr 9 — John B. Priestley: „Pan inspektor przyszedł", inscen. T. Żeromskiego, str. 71;
nr 29 — Upton Sinclair: „Kryminalista", str. 35;
nr 33 — Eugeniusz Pietrow: „Wyspa pokoju", adaptacja Ireny Bołtuć, str 72;
nr 27 — Aleksander Bek: „Szosa Wołokołamska", adaptacja Heleny Krajewskiej, str. 43;
nr 10 — Louis Aragon: „Rewizja" oprac. M. Czanerle, str. 32;
nr 11 — Armand Salacrou: „Łajdacy", str. 48;
nr 24 — Borys Gorbatow: „Przyjaźń", inscen. M. Wercnicz, str. 18;
nr 14 — Antoni Lachowicz: „Gospodarz — to ja!";
nr 30 — Roman Bratny: „Pobita Kra", str. 23.

Stefan Treugutt

Mickiewicz inscenizowany

„Dziady": część obrzędowa

„Dziady": Salon warszawski. Grupa literacka

Wieczór Mickiewiczowski, jaki widzieliśmy w „Teatrze Polskim"*), nie był bynajmniej zadaniem teatralnie łatwym. I to wcale nie dlatego że materiał inscenizacyjny wykraczał nieustannie poza tekst ściśle dramatyczny. Próby widowiskowej realizacji aktualnego ideowo tekstu mają już długą tradycję: Od przeróżnego typu adaptacji scenicznych średniowiecznych apokryfów (ludowa szopka religijna) aż do inscenizowanego przez Leningradzki Teatr Akademicki poematu Majakowskiego „Dobrze" (wnet po napisaniu, 1927). Droga to długa, a ilość rozwiązań ogromna.

Specyficzne trudności, na jakie natknął się inscenizator widowiska „Mickiewicz z nami", polegały na tym, że musiał on scenicznie ukazać teksty gatunkowo niezwykle różnorodne: „Oda do młodości", „Romantyczność", fragmenty I i II części „Dziadów", „Czaty" „Widzenie się w gaju", „Przyjaciele", „Stepy Akermańskie", „Cisza morska", „Na Alpach w Spluegen", fagmenty z I i IV ks. „Pana Tadeusza", „Polały się łzy me", „Do przyjaciół Moskali", „Salon warszawski" i „Wielka Improwizacja" z III części „Dziadów", wreszcie fragmenty artykułów z „Trybuny Ludów". Oto pełny przegląd obfitego materiału literackiego, jaki składał się w tym samym porządku na warszawskie widowisko ku czci Mickiewicza. A więc drobne liryki, poematy, ballady, teksty dramatyczne, wreszcie publicystyczne artykuły polityczne. Konieczność stworzenia konsekwentnej i jednolitej całości wynikała przede wszystkim z tego, że nie chodziło chyba o lepsze lub gorsze „przedeklamowanie" popularnych wierszy, ale o możliwie dobrze udokumentowane ukazanie wyrazistego oblicza ideowego wielkiego poety i człowieka. O zajęcie zdecydowanej postawy wobec spuścizny po Mickiewiczu — spuścizny, stanowiącej ogromny wkład w historię naszej myśli postępowej a żywej do dziś przez swe walory ideowe i artystyczne. „Mickiewicz z nami", ale Mickiewicz cenny dla nas i bliski, oczyszczony z fałszów tradycyjnej interpretacji, ukazany w każdym momencie swego życia i twórczości jak wspaniały, żywy pisarz postępu i demokracji. To istotne zadanie, któremu winny być podporządkowane wszystkie elementy inscenizacji, nie zostało w pełni zrealizowane w różnorodnych partiach widowiska. Konstrukcja formalna nie podkreślała jednolitości ideowego sensu odmiennych tematycznie i gatunkowo utworów. Koncepcja reżyserska nie organizowała wszystkich momentów przedstawienia.

Widowisko rozpoczęło się ukazaniem w świetle punktowym człowieka we współczesnym, dzisiejszym kostiumie. Siedział i zamknął książkę przed chwilą czytaną. To ma być komentarz do zrozumienia intencji inscenizatora: Mickiewicz ukazany w spojrzeniu współczesnego czytelnika, „Mickiewicz na nowo odczytany". Pomijając książkowy estetyzm takiego rozwiązania, trzeba stwierdzić, że założenie to nie zostało dalej przeprowadzone. „Czytelnik we współczesnym nam kostiumie" ukazuje się jeszcze dwukrotnie, ale już jako deklamator. Iluzja, że to on wywołuje „przed oczyma naszej duszy" postacie mickiewiczowskie (a jest tym współczesnym czytelnikiem sam inscenizator, J. Kreczmar) znika. Niemiły kontrast między trzymaną w ręku książką i kostiumem a tekstem, trakowanym chwilami nazbyt „aktorsko", uderza najbardziej w mówionej czy też czytanej przez Kreczmara „Wielkiej Improwizacji".

Luźny związek poszczególnych zdań jest także wynikiem podważającym jednolitość koncepcji interpretacyjnej. Jeśli istnieją łączniki między scenami, są one raczej formalne i podyktowane łatwością technicznego rozwiązania. Na ideowej stronie widowiska odbiły się fatalnie również niewłaściwe rozwiązania inscenizacyjne pewnych utworów. I tak w „Romantyczności" nie została wyodrębniona autorska refleksja i komentarz sytuacyjny. Cały tekst podzielono na osoby grające zbiegowisko białoruskiego ludu. W usta chłopa białoruskiego włożono takie wypowiedzi, jak: „Mówcie pacierze! krzyczy **prosta**", czy „a **gawiedź** wierzy głęboko". Obok tej wzruszającej autokrytyki lud białoruski szermuje programowymi hasłami literackimi i to w polemice z nieobecnym na scenie „mędrcem"!

Ten sam kmiecy tłumek występuje we fragmencie z „Dziadów". Świadomie pewnie odbiegł inscenizator — w scenie wywoływania ducha złego pana — od ekspresjonistycznych dymów i świateł w koncepcji analogicznej sceny w inscenizacji Schillera. Ukazał, podobnie jak wcześniejsza inscenizacja „Dziadów" Wyspiańskiego, duchy na scenie. Byli to aktorzy z ludu (z nałożonymi maskami „żarłocznego ptactwa" piekielnego i niekształtnym łbem potępieńca), odgrywający jakiś teatr w teatrze. Ekspresja rzeczywiście znikła, ale znikł także realny sens społeczny tkwiący w tym fantastycznym świecie wyobrażeń ludowych. Zatarło go pseudoludowe wystawienie.

Pozbawiona jakiejkolwiek treściwej koncepcji była część druga widowiska. Kosmopolityczny salon z 30-ych lat zeszłego wieku, a w nim osiem osób po kolei czytających najrozmaitsze „mickiewicziana". Łącznikiem miały być pewnie stylowe kostiumy i nieśmiałe próby aktorów stworzenia widowiskowej całości przez gesty zainteresowania, gdy ktoś siedzący obok recytował swój wiersz — celował w tym Zelwerowicz.

Najpoprawniejszą artystycznie stroną widowiska były właśnie indywidualnie traktowane deklamacje. Chociażby w tej samej żałosnej i nudnej w całości części drugiej wyróżnili się Zelwerowicz i Romanówna, czy Buszyński (wiersz „Do przyjaciół Moskali"). Żywszą całością był „Salon warszawski" z III części „Dziadów", noszący zresztą wyraźne cechy wspomnianej już inscenizacji Schillera. Ciekawy i słuszny był pomysł zamknięcia widowiska fragmentami bojowej publicystyki Mickiewicza. Można nawet zrozumieć katedrę, z jakiej kolejni mówcy profesorskim tonem odczytywali teksty. Ale już trudniej zrozumieć szacowne i zalatujące starzyzną biblioteczną zwoje papieru, z których czytali, a najwięcej niepokoju wzbudziła we mnie gromadka słuchaczy malowniczo rozlokowana pod tą katedrą. Inscenizator zgromadził tu cały zespół personalny widowiska. Chłop z nad Wilii, warszawski literat, generał, dama z salonu itd., itd. Cóż ta historycznie fałszywa „grupa" ma oznaczać? Czy niepokój, że widz na sali nie wystarczy, czy też jakąś chęć historycznego ukazania czytelnika „Trybuny Ludów", czy też po prostu łatwość formalnego, a w zamierzeniu pewnie efektownego rozwiązania scenicznego.

Zakończenie widowiska ukazało bardzo jaskrawo zasadniczy mankament pomysłu inscenizacyjnego, **brak analizy ideologicznej,** i co za tym idzie brak zdecydowanego, współczesnego stosunku do tekstu Mickiewicza. Dało to w wyniku niekonsekwentną i chwilami nieudolną wyraźnie formę widowiska. Uderza to, obok zakończenia we wspomnianym już salonie z części drugiej, gdzie siedzące w arystokratycznym wnętrzu grono estetyzujących „miłośników", stoi w rażącej sprzeczności z naszymi pojęciami o społeczno - artystycznej roli wielkiej poezji.

Tyle o nieudanym, acz bardzo pouczającym zabłąkaniu się wieszcza pod dach „Teatru Polskiego".

*) Państwowy Teatr Polski w Warszawie: **Mickiewicz z nami.** Widowisko ku czci Adama Mickiewicza w 3 częściach z Wstępem i Zakończeniem. Inscenizacja i reżyseria: J. Kreczmar. Wybór tekstów Mickiewicza: M. Jastrun i L. Kruczkowski. Dekoracje: M. Nalewajski. Kostiumy: Z. Węgierkowa. Muzyka: Z. Turski.

„Oda do młodości"

W NASTĘPNYM NUMERZE:

WITOLD ŁUKASZEWICZ O **MICKIEWICZU** JASTRUNA

Henryk Syska

GDY LUD SIĘ BUDZI

Począwszy od lat osiemdziesiątych ubiegłego wieku, wieś polska w Kongresówce zaczęła przechodzić w swoim rozwoju społeczno-gospodarczym zasadnicze przeobrażenia. Przesączały się one bardzo drobnymi kropelkami, nie ogarnęły od pierwszej chwili szerokich rzesz tonącego w analfabetyzmie chłopstwa, ale z roku na rok stawały się coraz bardziej widoczne, rokujące pomyślne horoskopy na bliższą i dalszą przyszłość. Coraz rozleglejsze i widniejsze stawało się wąskie dotychczas niezmiernie chłopskie okno na świat. Wzrosła bez porównania z ubiegłymi latami literatura ludowa, która, choć w dalszym ciągu nie pozbawiona tandety — przecież swoją prymitywną i bałamutną z punktu widzenia społecznego treścią potęgowała ciekawość chłopa do oświaty i do czytelnictwa. Liczne firmy wydawnicze i to zarówno te, które cieszyły się już wyrobioną marką na rynku księgarskim, jak i inne nowopowstające, postawiły sobie poniekąd za punkt honoru umieścić w planie wydawniczym upatrzone pozycje popularnych broszur.

Centralnym niejako punktem wydawnictw ludowych w Królestwie stała się Warszawa, choć i w prowincjonalnych miasteczkach spotkać się możemy z podjętymi w tym kierunku próbami. „Księgarnia Polska“ w ramach „Wydawnictwa im. Staszica“ wypuściła na świat ponad dwieście książeczek popularnych, spośród których na czoło wybijają się książeczki treści przyrodniczej i geograficznej. Umiejętnością wykładu i przystępnością formy celowały tu dziełka Mieczysława Brzezińskiego, rozkupywane przez chłopów w licznych nakładach. Obok Brzezińskiego widnieją w rejestrze tych wydawnictw nazwiska takich pisarzy, jak Morzyckiej, Orszy, Wernica, Dyakowskiego, Bukowieckiej i innych. Dalej wymienić wypada tzw. „Tanie wydawnictwa dla dzieci, młodzieży i samouków“, zwracające baczną uwagę na książeczki o charakterze podręcznikowym. Za nimi idzie „Biblioteczka im. B. Prusa“, wprowadzająca do katalogu pewne pozycje obcych pisarzy popularnych. Śladami wyżej wymienionych idzie Wizbek, później Gebethner i Wolff (Biblioteka Uniwersytetów Ludowych) i długi szereg innych, których niesposób tu wyliczyć. Ale popełnilibyśmy kardynalny błąd, gdybyśmy pominęli może najbardziej zasłużoną „Księgarnię Krajową“ Kazimierza Promyka, rozpoczynającą pracę od roku 1878 wydaniem historycznego „Elementarza Obrazkowego“. Bez większej przesady możemy powiedzieć o nim, że w głównej mierze był nauczycielem czytania dla polskiej wsi. W latach późniejszych — od roku 1885 wydawana przez Promyka „Gazeta Świąteczna“ rozpisuje pierwszy konkurs na popularne opowiadania dla ludu. Żniwo jego było dosyć obfite. Najlepsze prace były nagrodzone, a następnie drukowane w piśmie lub oddzielnych broszurach. Konkurs ten powtarzany był rokrocznie prawie do ostatnich lat przed pierwszą wojną światową. „Gazetę Świąteczną“ począł naśladować w kilka lat później tygodnik „Głos“, który jednakże decyzję swoją uzasadnił sytuacją kulturalno-oświatową polskiej wsi:

„Istnienie oddzielnej literatury ludowej w ogóle, w szczególności zaś istnienie odrębnej prasy periodycznej dla ludu, warunkuje się niewątpliwie całokształtem życia danego społeczeństwa. Gdzie lud i wyższe, wykształceńsze warstwy stykają się ze sobą nieustannie, mieszają się i współdziałają mniej lub więcej we wszystkich sferach publicznego życia, gdzie poziom umysłowy całego narodu jest wysoki, gdzie wreszcie rozwój kultury zatarł w znacznym stopniu wytworzoną historycznie odrębność i różnicę warstw społecznych, tam pisma przeznaczone wyłącznie dla ludu wiejskiego nie mają racji bytu. W Szwajcarii na przykład istnieje wiele pism bardziej popularnych, ale pisma ściśle ludowego nie ma wcale, jak również nie ma tam wcale specjalnie ludowej literatury książkowej“.

Niezależnie od wydawnictw ludowych Kongresówki przedostała się tu literatura popularna licznych księgarni galicyjskich. Same wydawnictwa „Macierzy“ osiągnęły przecież ogółem 1.021.000 egzemplarzy nakładu, nie licząc nakładów księgarni Kacpra Wojnara w Krakowie, wydawnictwa im. Kasyldy Kulikowskiej, wydawnictwa groszowego im. Tadeusza Kościuszki itp.

Chociaż stan szkolnictwa elementarnego na wsi przedstawiał się fatalnie (jeszcze w roku 1902 było zaledwie 1510 szkół gminnych i 1178 wioskowych), umiejętnością czytania poszczycić się mogło coraz więcej chłopów. Spełnił tu swoją rolę elementarz Promyka, przekraczający w krótkim czasie milionowy nakład, docierające w ślad za nim „Zorza“ i „Gazeta Świąteczna“, oraz rzadki wprawdzie, ale niemniej jednak spotykany system prywatnego nauczania zimową porą po domach. Nauczanie takie przez długi okres popowstaniowy było surowo karane przez władze carskie. Dopiero w roku 1862 nastąpiło względne załagodzenie dotychczasowego rygoru. Z poczuciem prawdziwej ulgi czytał chłop polski telegraficzną notatkę w „Gazecie Świątecznej“:

„W Ministerium Oświaty wyszło rozporządzenie pozwalające uczyć po domach prywatnych nie tylko nauczycielom, którzy mają wydane sobie na to patenta (jak to było dotychczas), ale także i innym osobom, nie składającym egzaminów na nauczycieli. Ministerium zaleca tylko baczyć na to, aby osoby takie zajmujące się uczeniem były pewne co do ich prowadzenia się moralnego i politycznego, to jest, aby nie działały na szkodę rządu“.

Zastrzeżenie, jakie czytamy w ostatnich zdaniach, kryło dla inicjatorów oświaty pewne ryzyko, a dla przedstawicieli władzy wygodny pretekst do wszelkich interwencji, które — jak łatwo zresztą przewidzieć — były na porządku dziennym. Mimo to jednak paragraf powyższej treści, umieszczony w Dzienniku Ustaw petersburskiego ministerstwa oświaty podziałał w wielu wypadkach zachęcająco do skorzystania z tego dobrodziejstwa. Któż na głuchej, zabitej deskami od świata i ubogiej wsi mógł pełnić funkcję pożądanego siewcy oświaty? Oczywiście jednostki mające tu swój wyrobiony i uświęcony najczęściej tradycją autorytet. Mógł być nim pielgrzym wędrujący z miejsca do miejsca odpustowego, a szukający dłuższego odpoczynku po przebyciu pewnego etapu drogi w obawie przed skutkami zbliżającej się zimy. Był nim, choć rzadziej — emisariusz polityczny — szukający pod przybranym nazwiskiem schronienia przed policyjnym pościgiem. Potrafił on dyskretnie rozpalać w sercach słuchającego ludu tlejące iskierki buntu przeciwko uciskowi władzy carskiej, dworskiej i administracyjnej. Znamy jeden taki konkretny przypadek. Chodzi tu o wysłanniczkę „Proletariatu“, nauczycielkę ludową z Głuchowa Skierniewickiego, Filipinę Płaskowicką, zmarłą w 1880 r. w drodze na Sybir. Jest to wprawdzie jeden z nielicznych wypadków, który znamy z dokumentów ruchu rewolucyjnego, ale z całą pewnością — nie jedyny. Przecież aresztowania wśród inteligencji wiejskiej były stosunkowo częste. Że nie były one przecież bez przyczyny, jest rzeczą zupełnie jasną. Rolę krzewiciela oświaty wśród ludu pełnić mógł zwykły owczarz dworski czy gromadzki. O jednym z takich wypadków dochowała się wiadomość do naszych czasów. Mamy na myśli nazwisko Piotra Banasiuka z Woli Orzechowej koło Sokołowa Podlaskiego. Jeden z korespondentów dziennika warszawskiego taką o nim m. in. podał wzmiankę:

„Podczas lata, gdy pasał owce, wyciągał z sobą wszystkie dzieci ze wsi i uczył je z elementarza. Pastuszkowie krów nieopodal się pasących również garnęli się do nauki. Niezwykły ten owczarz w porze zimowej jeszcze gorliwiej pracę oświatową rozwijał. Zachęcał do uczenia się elementarza nie tylko dzieci, ale i dorosłych. Miał szczególniejszy dar przekonywania nawet najoporniejszych i leniuchów o potrzebie nauki. Nie umrę spokojnie — mawiał często — póki choć jeden człowiek w Woli Orzechowej zostanie ciemnym“.

Mieszkańcy Woli Orzechowej pozbyli się całkowicie analfabetyzmu. Potrafili też zachować pamięć o swoim nauczycielu i wspominali go długo z wdzięcznością. A kiedy w roku 1910 pożegnał ich na zawsze, by zająć nową mogiłę wzdłuż cmentarnej ścieżki, postawiono mu zbiorowym wysiłkiem krzyż z krótkim, lecz wymownym napisem: **„Naszemu Oświecicielowi“.**

Funkcję prywatnego nauczyciela na wsi pełnić mógł również ktoś z miejscowych mieszkańców, wyróżniających się spośród swego otoczenia wiedzą. Zbierali się dorośli i dzieci u kogoś, kto miał cieplejsze i obszerniejsze pomieszczenie, skupiali się wokół migocącego knotka lub dymiącej drzazgi i słuchali głośnego czytania gazet, wszczynali gawędę na przeczytany temat, zapoznawali się ze znakami pisarskimi. O jednej z podobnych szkółek pisze nam w swoich cennych pamiętnikach Stanisław Siennicki, małorolny gospodarz spod Ostrowi Mazowieckiej:

„Postarano się o deski, zrobiono duży, długi stół na sztalugach, a wkoło niego ławy. Wybrano na szkołę największą izbę we wsi i nauka się rozpoczęła. Mnie obiecali dać za fatygę po 30—50 kopiejek od dziecka, a jako podręczniki szkolne miały służyć dzieciom takie książki, jakie się u kogo znalazły, a więc: książki do nabożeństwa różnej treści i wielkości, kantyczki, stare kalendarze, a niejedno z dzieci przyniosło sennik, echo trąby ostatecznej, lub proroctwa Sybilli, bo takie tylko książki można było na wsi spotkać“.

Oczywiście, że „szkoły takie nie mogły się odznaczać specjalnie wysokim poziomem. Pozostawały one w tyle za szkołami elementarnymi o regularnym programie, choć i te ostatnie pozostawiały wiele do życzenia. I w nich bowiem podręczniki szkolne, aczkolwiek jednolite, dalekie były od głębszej treści naukowej i społecznej. Przede wszystkim jednak katastrofalnie przedstawiało się teoretyczne przygotowanie nauczycieli.

Doniosłą rolę w zwalczaniu ciemnoty i analfabetyzmu miały wspomniane już gazety: „Zorza“ i „Gazeta Świąteczna“. Szczególnie ta ostatnia, już od pierwszego numeru umiejętnie redagowana, wywołała wśród ludu dosyć żywe zainteresowanie. Ale i „Zorza“ od roku 1887, a więc od reorganizacji personalnej komitetu redakcyjnego, uzyskała po kilku latach pracy zasłużoną wziętość pod słomianą strzechą. Nie zajmując się szczegółową analizą wartości tych gazet, co zostało dokonane obszerniej w specjalnej książkowej pracy — poświęćmy chwilkę uwagi na zasługi ich w dziedzinie kultury rolnej. Rolnictwo w Polsce było w stanie opłakanym. Nie znając doskonalących się z dnia na dzień sposobów gospodarowania, osiągało z gleby szczupłe plony. „Brat rodził brata“ można powiedzieć o wysokości zebranych plonów. „Gazeta Świąteczna“ wraz z „Zorzą“ obok podstawowej swej misji (klerykalnego umoralniania) poświęciły wiele miejsca poradnictwu zawodowemu. „Zorza“ Maksymiliana Malinowskiego w późniejszych już latach górowała o tyle nad „Świąteczną“, że sam jej redaktor, człowiek o niezwykłej żywotności, utrzymywał bardziej bezpośredni kontakt z chłopami, niż Kazimierz Promyk. Jeżeli ten ostatni był raczej z temperamentu oświatowcem, pedagogiem dla dorosłych w najszlachetniejszym tego słowa znaczeniu, to Miłguj-Malinowski, nauczyciel z wykształcenia, spółdzielca z ducha, okazał się świetnym organizatorem w terenie. Uwagi jednak powyższe, aczkolwiek oparte na danych bezpośrednich, nie stwarzają nam faktycznych podstaw do wydania sądu wartościującego dorobek obu gazet w pracy kulturalnej i gospodarczej na wsi pod zaborem rosyjskim. Może bardziej właściwie uczynimy, oddając tu głos współczesnemu obserwatorowi, średniorolnemu chłopu spod Urzędowa, Piotrowi Żakowi. Pisze on w roku 1898 w artykule „Rolnictwo przed 25 laty“:

„Przy pomocy Pana Boga, „Gazety Świątecznej“, a obecnie „Zorzy“ pracowałem usilnie i dzięki tak dobrym pismom i książkom jest mi lżej, a dlatego to, żem korzystał z każdej sposobności i rad, którem wyczytał... Przyznaję się, że gdyby nie oświata, trzymałbym się starych sposobów gospodarowania, a może i tych błędów, co się ich i dziś nieoświeceni ludzie trzymają. Dzięki dobrym pismom i książkowemu przewodnictwu sam wiele błędów i fałszów wykorzeniłem spomiędzy nierozumnych i nieoświeconych ludzi, którzy tylko wierzą bajdom rozpuszczanym przez owych ludzi złej woli i takich, co chcą skorzystać z łatwowierności ludzkiej. To ja, moi panowie, nieraz dysputę prowadzę ze starymi gospodarzami, którzy plotą, że tak, a tak ma być, chociaż trudno nierozumnego przekonać, ale jak się uda, to taki stary człowiek mówi: Mój Boże, co to za czasy, że ci młodzi są mędrszymi od nas starych. A prawda — oni umieją na książkach, to ich tak oświcca“.

Z powyższego cytatu zauważyć możemy jeden bardzo ważny w życiu społecznym moment. Pierwsi czytelnicy „Zorzy“ i „Gazety Świątecznej“ byli jedynymi naówczas przodownikami w życiu wsi. Musieli oni początkowo przełamać pewne zapory przesądów i uprzedzeń, wynikłych z zacofania intelektualnego mieszkańców gromady. Czytanie gazet na wsi przez długi okres — sięgający w mniejszym zakresie do ostatnich czasów — było uważane za dziwactwo, którego szanujący się chłop powinien unikać. Miało ono uwłaczać naturalnemu rozumowi, potrzebującemu aż sztukowania... czyjąś mądrością z drukowanego. Nie obyło się tu oczywiście bez wpływu parafialnego duchowieństwa, tłumaczącego nagminnie, że Boga chwalić można bez umiejętności książkowych, że niewiedza chroni od pokus itp. O nastrojach podobnych i trudnościach wyłamania się spod ich wpływów myślącej jednostki donosi korespondent „Zorzy“, późniejszy zaraniarz, Maciej Zwoliński z Klimontowa pod Proszowicami, powiatu miechowskiego. Opisuje on swoją przygodną podróż w dalsze okolice, gdzie przyszło mu kilka godzin zatrzymać się w nieznanej wiosce i uciąć przyjacielską pogawędkę z chłopami o troskach codziennego życia:

„Kilku gospodarzy tej wioski zachęcałem do sprowadzenia „Zorzy“ i dałem numer okazowy takowej. Lecz każdy wymawiał się tym przede mną, że by się inni z niego wyśmiewali. Jeden zaś odpowiedział mi, że wielką chęć ma do „Zorzy“ i opłaciłby ją sobie, ale żeby przez pocztę do kogo innego, a nie na niego była adresowana“.

Ale nie ma przeszkód nie do przebycia. Ta grupa nielicznych postępowców chłopskich za owe czasy, która chciała siebie i wieś zobaczyć w innej pozycji materialnej, z początku pogardzana, później zaczęła być otaczana należnym jej szacunkiem. Przykład lepszego plonu zebranego z pola, swobodna rozmowa o wydarzeniach w świecie, umiejętniejsze załatwianie spraw urzędowych, a nawet łatwiejszy dostęp do funkcji społecznych na stanowiska wójta, ławnika czy choćby sołtysa wzbudzały już nie szyderczy uśmiech, ale normalną sąsiedzką zazdrość. Stąd też z biegiem czasu krąg zainteresowania się oświatą i zdobyczami gospodarczymi począł się coraz widoczniej rozszerzać. Coraz większa rzesza chętnych spieszyła do okienka pocztowego z prenumeratą za „Zorzę“ czy „Gazetę Świąteczną“, która dla wielu stała się nałogiem, tak jak nałogiem jest palenie papierosów. Do parafii kleczkowskiej np. w powiecie ostrołęckim w roku 1902 przychodziło 12 numerów „Zorzy“, a więc średnio jeden egzemplarz na wioskę. W gminie serockiej nad Narwią w tymże samym czasie zanotowano sześć numerów „Zorzy“, osiem „Gazety Świątecznej“ i dwa egzmplarze „Gospodarza“. Oczywiście, nie na każdym terenie stan oświaty przedstawiał się zadowalająco. Niemniej jednak, gdybyśmy zadali sobie trochę trudu nad statystyką podobnych zjawisk, wydobylibyśmy znacznie więcej.

Ale wróćmy do zagadnienia postępu w rolnictwie. Sprawy utrzymania gleby w należytej kulturze znalazły szybko zrozumienie u światlejszych gospodarzy. Przekonano się o słuszności nawoływań „Zorzy“ i „Gazety Świątecznej“, o skuteczności porad w dziedzinie rolnictwa, przekonano się, że droga do zwiększenia plonów wiedzie przez mechanizację pracy. Już wówczas pojawiły się pierwsze odgłosy na łamach prasy ludowej, wykazujące ścisłą współzależność gospodarki rolnej od produkcji przemysłowej. Znów oddajemy głos znanemu nam Piotrowi Żakowi z Lubelszczyzny:

„Z końcem minionego wieku zrozumieli ludzie, że wymagane jest posługiwanie się w gospodarce rolnej maszynami. I oto pospieszyli nam z pomocą ci ludzie, którym my dostarczamy chleba, mięsa i wszelkich spożywczych produktów. Oni to w zamian za naszą pracę zaczęli wyrabiać bardzo pożyteczne narzędzia i maszyny, a my zrozumieliśmy, że ich wyroby są dla nas dobrodziejstwem i zaczęliśmy się w takowe zaopatrywać. Najpierwszą po pługu, bronie i gruberze jest sieczkarnia, która gospodarzy wybawia od owego ciężkiego stękania nad ręczną skrzynką sieczkową... Toteż, gdy przed 15 laty pojawiły się sieczkarnie trybowe, gospodarze nawet drobniejsi rzucili się na nie, że już prawie każdy ją ma. Młocarnie coraz bardziej są używane, sprawiają je zamożniejsi i biedniejszym wypożyczają za wynagrodzeniem, bo wszyscy się przekonali, że maszyna bez porównania prędzej działa, a robota jest dokładniejsza aniżeli ręczna cepami“.

W tym samym okresie wielu czytelników „Zorzy“ i „Gazety Świątecznej“ rozpoczęło przy pomocy artykułów i korespondencji dzielić się swoimi doświadczeniami. Współpraca ta rozwinęła się szczególnie w ostatnim dziesiątku lat ubiegłego wieku. Kilka zwłaszcza nazwisk spotykamy często na łamach prasy ludowej. Ludzie ci wykazują zdumiewające wprost jak na samouków wyrobienie w piórze. Byli to już stali przyjaciele swoich gazet, oddani im całą duszą od wielu lat i dlatego warto niektórych sobie przypomnieć.

A więc cytowany już Piotr Żak z Majdanu Leszczyńskiego spod Urzędowa, wzorowy gospodarz, odznaczony wielu medalami na wystawach rolniczych. Zasilał on głównie „Zorzę“ cennymi poradami zawodowymi, później pisywał do kalendarzy rolniczych.

Dalej Maciej Zwoliński z ziemi proszowskiej, postać niezwykle sympatyczna i czynna, zwłaszcza w sławnej, miechowskiej „Jutrzence“. Dalej idzie zagonowy szlachcic z łomżyńskiego, Długoborski Konstanty z Długoborza Szlacheckiego, 38 morgowy gospodarz, baczący na to, co się dzieje w jego okolicznych zaściankach i wioskach włościańskich. W tym czasie odezwał się Piotr Koczara i Deptuła z Kacic pod Pułtuskiem, aby później dzielić z pisarzami „Zorzy“ długie lata złą i dobrą dolę w walce o postępowe oblicze wsi. Do „Zorzy“ nadsyłał prymitywne jeszcze wzmianki o życiu swych okolic Tomasz Nocznicki, jeden z najbardziej zasłużonych później ludowców. Nie można również pominąć nazwiska. Teofila Kurczaka, księżaka łowickiego, współtwórcy programu Polskiego Związku Ludowego.

Lecz pośród tych wszystkich i wielu jeszcze niewymienionych pisarzy, nadsyłających korespondencje do „Zorzy“ i „Gazety Świątecznej“, wyróżnił się pracowitością, opanowaniem stylu, formy i skalą nabytych wiadomości Michał Mosiołek ze wsi Wysokie, pow. radomskiego. Oprócz właściwego nazwiska posługiwał się on pseudonimami „Radomczyka“ i „Kosieńczyka“. Pochodził z bardzo ubogiej, prawie wyrobniczej rodziny. Jako ławnik sądu gminnego rozpisywał się szeroko o procesach i prawodawstwie gminnym, nawołując czytelników do unikania przedpokojów adwokackich i sądów. Z artykułów jego o obyczajach ludu dowie się wiele poszukujący dowodów etnograf. Skończył on gruźliczy żywot w czerwcu 1898, przeżywszy niecałe 30 lat. W pięknym wspomnieniu pośmiertnym, jakie poświęcił mu w „Zorzy“ Maksymilian Malinowski, czytamy:

„Jako pisarz był Mosiołek niepospolity. Gdy się zaś zważy, że on prawie do żadnej szkoły elementarnej nie uczęszczał, a jednak pisał tak, że redakcja w artykułach jego nie potrzebowała poprawiać nic, nawet znaków pisarskich, oraz gdy się zważy, że nieboszczyk artykułów swych nie poprawiał, nie przepisywał, tylko od razu na czysto i dobrze pisał, to już chyba będziemy mieli dostateczną miarę jego wielkiego talentu“.

Wobec wzmagającego się ruchu umysłowego wśród włościan Królestwa, w obliczu wzmagającego się zainteresowania nowoczesną gospodarką, samo poradnictwo teoretyczne okazało się już środkiem niedostatecznym. Należało więc obmyślić inne, bardziej praktyczne sposoby, które by pozwoliły drobnym rolnikom poznać naocznie ostatnie eksperymenty w rolnictwie. Zadanie to spełnić miały organizowane wycieczki po kraju i za granicę do wzorowych gospodarstw, wystawy rolnicze w Warszawie i na prowincji oraz kursy zawodowe, organizowane przy współudziale Warszawskiego Towarzystwa Pszczelniczo-Ogrodniczego. Wiele pracy i wkładu w organizowanie tych kursów włożył niestrudzony redaktor „Zorzy“, Maksymilian Malinowski. Do niego to już od roku 1890 zaczęli przyjeżdżać w odwiedziny chłopi siermiężni z różnych stron kraju. Były to osoby pojedyńcze lub też grupki zatrzymujące się w Warszawie z okazji zwiedzania wystaw (pielgrzymki do miejsc świętych), względnie przyjeżdżający do stolicy po zakup narzędzi czy nowych odmian ziarna siewnego. Wizyty takie powtarzały się coraz częściej, a po każdej z nich rozjeżdżali się chłopi do domów podniesieni na duchu słowami swoich prawdziwych przyjaciół.

* * *

Dzięki pracy społeczno oświatowej zapoczątkowanej wśród ludu w kilkanaście lat po upadku powstania styczniowego nauczyło się wielu chłopów czytać i pisać. Bez tej zaś podstawy niemożliwe były dalszę przeobrażenia kulturalno-oświatowe.

---

*) Szkic z tomu „Przez walkę do zwycięstwa“, który ukaże się wkrótce nakładem Wydawnictwa Ludowego.

Marian Przybylski

W MIASTECZKU GÓRNICZYM

Drukujemy fragment nadesłanego nam opowiadania Mariana Stanisława Przybylskiego p. t. „Metejerzy". Jest to pierwsza praca w języku polskim dawnego emigranta. Opowiadanie ukazuje środowisko górników polskich ze Śląska zatrudnionych w kopalniach północnej Francji oraz życie „metejerów" — drobnych dzierżawców, oddających obszarnikowi połowę zbioru w zamian za użytkowanie fermy.

Dzieje klasowego wyzysku proletariatu polskiego, pogłębianego szowinizmem narodowym francuskiego mieszczanina i jego oficjalisty, są ponurym tematem „Metejerów".

rys. S. Cieloch

Minęli czwarty szyb, skręcili w błotnistą uliczkę. Lodowaty wiatr owiał ich twarze, zagłuszył przeraźliwy głos kopalni. Odczuli ulgę. Nie słyszeli teraz jednostajnego basu, który żądał jeszcze potu, jeszcze krwi. Od czasu do czasu dochodziły ich odgłosy zderzających się wagonów tuż na sztrece, na nasypie, ponad ich głowami.

— Robiłym trzy roki w tym piekle. Szczęśliwym, żym nie zdechnoł.

— Jo bym downo wyciongnoł giery. Jak żeśta sie stamtond wydostali?

— A, cholora, musiołym cosik zrobić. Pokłóciłym sie ze sztajgrym...

— I co? wyloli wos?

— Wyloli? nie! dali „a pied"[1]) dwa tygodni, a potym do wyngla na 214, gniłym we wodzie po kolana, dostałym zapalenie i doktór zesłoł mnie na piontke[2])

— Lepi wom sam?

— Nie! sa cholora, gdyby nie baba, to bym sa pieruna gwiznoł na tyn „katański" chlyb i wrócił bym se do Polski.

— Jo tyż tak godoł. Alem sie w końcu przyzwyczaił, widzita! A w Polsce to to samo co za Bismarka, ino pod magistrat pósć i zdychać. — Długośta pracowali na tyj piontce?

— Bydzie wnet siedymnoścIę lot!

— To wnet byndom wom pensyje płacili?

— Wierzta! zapłacom roz na zgniłom trumne, tego sie dockamy w tyj Francyji.

— Prowda! Zakopiom jak psa, jak tego Sawickiego.

— No a co mu się stało?

— Tośta z nieba spadli? Zgniotło go!

— Kiedy?

— Wczoraj nad ranym. Kopali go ze sześć godzin, ino znaleźli maź. Pogrzyb mo być jutro. Może by szło póść, jak myślita?

— Nieborok! dockał sie. Jeszczyk w niedziele byłym z nim na „żynefie"[3]) a tu mosz.

— To dlo kożdego przyznaczone. Chocioż sie nie mynczył chłopok.

— By sie ożynił, toby baba chocioż z tego skórała.

— O Ludwikowej córce godocie? No trudno!

— Słuchojta! somsiedzie, trza póść na tyn pogrzyb. Jacka zaprzągna do sztandara, bo mie łapisko boli.

— Lepi wysłać Jurka, tego tromboca, łon silniejszy.

— Nic z tego. Jacek mo póść. Pokłócił się z tym Sawickim za gazety, co mu kozoł nosić, to niech se tero troche ponosi sztandar.

Rozmawiali jeszcze przy progu. Deszcz zaczął padać. Rozeszli się. Kosmala przyspieszył kroku. Deszcz przestał mżyć. Kosmala kierował się w stronę cmentarza, obok którego mieszkał. Odgłos jego ciężkich butów rozchodził się po uliczce, odbijał się od wysokiego muru cmentarza; dochodził ponownie do jego uszu. Wydawało sie Kosmali, że ktoś szedł za nim. Pomyślał o Sawickim; nie bał się wcale. Chciałby z nim teraz porozmawiać, zapytać w jaki sposób zginął, jak wygląda tamten świat, jeśli taki istnieje. Myśli te nasuwały się, kiedy przechodził obok mogił, gdzie niejeden polski górnik spoczął na wieki. Nagle ogarnęła go złość. Nie mógł sobie dokładnie wytłumaczyć, co się z nim działo. Świat wydawał mu się czarny, okrutny, bezlitosny.

— Cholora, zostołbym na Ślonsku, to bym inaczy wyglondoł. Człek zawdy taki głupi. Co jo tu mom za rozkosze? Ino se haruj az ci gnoty ze skóry wyłażom i kuniec. Rób dlo tych pasibrzuchów a korzyść? — nul. Wszystko sie przepije i przeji. A jak kcesz cosik na starość zaszparować, to nie żryj całymi lotami, asz cie suchoty porwiom. Po! pierun, może by szło sie wyrwać gdzieś we świat, póki szlach nie trafi i kaminie nie zarombiom w „kułłarze" [4]).

— Na co tyle ludzi marnuje sie w tyj Francyji? Jakby był inny rząd u nos, to napewno by tego nie było...

Sawicki nie żył, jednak Kosmala wyczuwał, że coś wiązało go z nim. Przez mgłę zmęczenia wynurzały się podświadomie jakieś wspomnienia, o których nie myślał, że mu utkwią w głowie. Jak we śnie, widział przed swoimi oczyma Sawickiego; szli razem na „szychtę". Cichym głosem szeptał mu tamten do uszu:

— Byłym som, ni baby, ni kindrów, nie liczyłym sie z niczym, na czym mi zależało? Sprawa była śliczno, jedyno: kaj był sztandar, tam i jo był.

Kosmala przypominał sobie Sawickiego, kiedy wybierał się do Hiszpanii. — Stał na stacji odziany w płaszcz brązowy. Uśmiechał się, częstował długimi, kremowymi papierosami. — Widział go rok później, po klęsce. Był chudy, nieogolony, papierosami nie częstował, — ale uśmiech jego poważniejszy, głębszy. Nabrał na froncie pewności siebie, zmężniał, promieniowała od niego radość.

— Czas robi dlo nos Hynryk! Co tam z Hiszpaniom, wcześni czy późni wydusi sie marokańskie hordy Franka. Trza zawdy mieć na myśli Polske. Wojna bydzie, trza bydzie sie zmierzyć z Hitlerem i jego pachołkami. Zwycinstwo to bydzie nos wiele kosztowało jak nie pójdziemy z Rosjom. Po tym dopiero obocymy inkszy świat i zabłyśnie zorza dlo tych, co tak sie mozolom jak my.

Kosmala przysłuchiwał się, wchłaniał te słowa, oddychał nimi. Nie wątpił w zmianę losu, mimo trudów i znojów codziennej walki o chleb, o byt. Wierzył święcie w lepsze jutro, wierzył, że pewnego dnia świat czarnego wyzysku rozpłynie się, jak bałwan śniegu, jak krew Sawickiego na węgielnych głazach kopalni.

* * *

Miasta zagłębia północnej Francji są prawie wszystkie podobne do siebie. Rozciągają się jak skrzydła olbrzymiego jastrzębia. Centrum: to domy, ciągnące się wzdłuż tak zwanej „route nationale"[5]) dalej sklepy, restauracje, szpitale, główne biura kopalniane, kina, kościoły. Wychodząc z tej arterii, wpadamy bezpośrednio do dzielnic robotniczych. Każda z nich nosi nazwę, a najczęściej numer szybu, dokoła którego się gnieździ. Obok kopalni wyciągają się „korony"[6]) szteigrów i urzędników; domy są wyższe od chałup górniczych. Dalej biegną całe ulice o budynkach podobnych do siebie. Rzędy tych ruder różnią się jedynie kolorem drzwi.

— Jeśli idziecie do znajomego o zapomnieliście numeru domu, to można go odnaleźć tylko po kolorze firanek.

Na uboczu stoi szkoła, budowana w tym samym stylu, co sąsiadujące domy. Każdy mur, każdy dach pokryty jest szarą warstwą kurzu. Twarze odzwierciedlają szarość i beznadziejność życia.

W rynsztokach można widzieć dzieci; na pół nagie, bawiące się w błocie robią „placki", tamują wodę i babrzą się w niej.

Czasem jakaś kobieta odziana w brudny szlafrok, nieuczesana, przebiega z jednego domu do drugiego. Pomiędzy blokami siedzą grupy młodzieńców z rękoma w kieszeni, w oczach mają wyraz znudzenia i buntu. Nie rozmawiają — palą oślinione papierosy, przykucnięci na progach, żują tytoń, plując długą, żółtą nić nikotyny, albo grają w karty, kłócą i biją się.

W pobliżu szkoły, chroniona wysokimi murami, na których grzbiecie błyszczą ostre kawałki różnokolorowego szkła, w głębi jakiegoś tajemniczego parku, przez który nigdy dotąd nie przeszła stopa górnika, kryje się willa inżyniera.

Zieleni tutaj nie ma. Zaledwie kilka jarzyn wegetuje w małych ogródkach, albo gałązka mirtu lepi swoje listeczki do szyb, jak gdyby pragnęła pochłonąć rzadkie i skąpe promienie słoneczne, przenikające przez ekran kurzu. Do tego chorobliwego nieba wspinają się długie palce kominów, kąpią się w chmurach, przysłaniając zasłoną dymu pobliskie pola...

* * *

Kosmala wstał, gdy widniało. Noc miał okrutną. Dwa razy zrywał się ze snu, masował nogi torturowane kurczami. Z przerażeniem zeskakiwał na kozią skórę, rozłożoną przed łóżkiem. Boso spieszył po zimnej posadzce, szukając po szufladach jakiejś „kamfory", która by mogła usunąć ten uporczywy ból. Serce mu dygotało. Gryzł wargi i jęczał. Zimne poty oblewały jego ciało. Oddychał krótko, jak gdyby leżał pod ciężkim głazem. Ubrał się, by pójść na pogrzeb. Wyszedłszy, ukłonił się sąsiadce, która szorowała rynsztok.

Na środku ulicy stał „gard"[7]), dozorował. Pod jego wzrokiem wszystkie gospodynie uwijały się z miotłami. Jedna drugiej pchała szeroką falę brudnej wody. „Gard" podchodził do niektórych z nich, śmiał się, żartował. W jego śmiechu czytało się ironię, złośliwość i zarozumiałość. Cały „koron" był w ruchu. Słychać było gwar, chlustanie wody i zgrzyt ryżowych mioteł po wybrukowanym rynsztoku. „Gard" poprawiał swój kaszkiet ze złotym otokiem, podkręcał wąsa, robił perskie oczko do młodszych gospodyń. Wyglądał jak kogut wśród swego haremu. Wolnym, poważnym krokiem, trzymając w ręce gruby niklowy klucz w kształcie litery T, przechodził za kobietami, jak generał na przeglądzie. Zerkał na ochlapane nóżki, zwracał uwagę na to i owo, poklepywał po ramieniu. Ku śmiechowi wszystkich, pomagał niektórym, a to najczęściej młodym mężatkom, u których talent do szorowania nie uwydatnił się jeszcze wystarczająco.

Kosmala wyprzedził „garda", uchylił z lekka swój czarny kapelusz.

— Dokąd tak? — powiedział „gard" jowialnym głosem. — Dokąd młodzieńcze? Na wesele?

— Nie! na pogrzeb! — odparł Kosmala zaskoczony.

— To się obracasz teraz w karawaniarza?

— Jeszcze nie! Tylko to kolega! Pan wie, Sawicki!

— Ach! Oue Sałiski! Che des faut' i' n'avo qu'a pas y aller (to jego wina, nie potrzebował tam iść).

Kosmala odpowiedział także gwarą, którą znał lepiej, aniżeli język Racine'a. Ale „gard" nie zważał już na jego gadanie. Wybuchnął złością na starą kobietę, która spóźniła się do rynsztoków. Kosmala odszedł, wolał lepiej nie być przy takiej rozprawie, mógłby przystąpić do obrony baby, co skończyłoby się kwasem.

— Pockoj! — pomyślał. — Jak wyciongniesz łapy, to obocyma, ile nos bydzie na tym weselisku.

Szedł lekko zgarbiony, zatrzymywał się, aby wysiąkać nos. Chciał jak najszybciej dojść do szpitala, gdzie leżały zwłoki Sawickiego.

— Naprawde byłbym farajno szczynśliwy oboczyć go!

Przypuszczał, że nie był taki zmasakrowany, jak go malowali. Ciekawy był, czy przyjdzie ksiądz.

— Nic nie szkodzi, z łojcym albo bez łojca! Tyn stary urangutan frajcuski, to przychodzi jak mu sie kce. Lepi od polskiego, bo go nigdy nima tam, gdzie powiewo czerwony sztandar. Boi sie go jak świenty Michoł diabła.

W kostnicy, na wielkim kamiennym stole, leżała trumna. Była zaplombowana czerwonym lakiem.

— Sa pieruna! — pomyślał Kosmala. — Łon nie był taki wielgi!

— Dali mu trumne na wyrost! — powiedział ktoś z tyłu.

Kosmala przeżegnał się i spoglądnął na popękane odciski swojej prawej ręki, na którą spadła jedna, ciepła łza. Postał trochę, — poczuł, że słabnie. Ciągłym ruchem ręki poprawiał włosy. Wyszedł, nie założywszy kapelusza. Karawan trzeciej klasy zbliżył się. Dwóch grubych obywateli zeskoczyło z wysokiego „strapontynu"[8]). Byli ubrani w czarne peleryny; nasunięte na czoło okrągłe czapki skórkowe otoczone były srebrnymi paskami.

Mężczyźni wychodzili z „kafejki", gromadzili się przy karawanie, dopalali papierosy, półgłosem rozmawiając. Jeden z nich uchwycił drewniany krzyż, stanął około dziesięć kroków tyłem do konia. Inni podążyli za nim, podtrzymując owalne wieńce z fioletowego celuloidu. Nagle zjawił się zdyszany „kumpel" Kosmali; niósł na ramieniu długi, ceratowy pokrowiec. W mgnienia oka, jak żołnież przy obsłudze karabinu maszynowego, zdjął pochwę, wkręcił drzewiec, rozwinął czerwony sztandar.

— Coś sie spóźnił, ty próżnioku? — zapytał Kosmala.

— Ach! sa pieruna! Jacek przebił se łape na gwoździu, a Jurka nima!

Czekali teraz na księdza. Koń niecierpliwie grzebał kopytem. Ludzie szemrali:

— No! co robimy? — Kto był u ksiendza?

— A to żona Wacka!

— A nie wieta kiedy?

— Wczoraj wieczorym.

— To może i jom odprowadził i utopił sie w gnojówce! Co? — Smiali się. Kosmala jednym ruchem ręki uspokoił wszystkich. — Jak łon nos nie kce, to pójdziemy somi, kościół otwarty dlo wszyskich.

— No to jazda! — krzyknęło kilku.

Karawaniarze ukazali sie z trumną. Zapadła cisza... Ruszyli. Było ich ze trzydziestu, szli czwórkami, wysztywnieni, jak żołnierze. Na trotuarach ludzie ściągali czapki. Samochody i rowerzyści zatrzymywali się. Staruszki się żegnały.

Wrota kościelne były otwarte. Na wielkim ołtarzu, w półcieniu paliły się żółte świece. Wieczna lampka rozsiewała amarantowy blask.

Ci, którzy nie poszli na mszę, zaledwie wypili po jednej „szopie"[9]), a już wkładano trumnę na karawan. Otarli usta i kierowali się w stronę cmentarza. Księdzy kroczył za krzyżem, za nim postępował Gawron, wznosząc dwoma rękoma ciężki drzewiec sztandaru. Był dumny, niósł przecież drogocenne trofeum, nad którym powierzono mu pieczę. Koledzy uśmiechali się, kiedy Gawron przez nieostrożność zaczepiał złotymi frendzlami o koronkową albę księdza.

Przy grobie świeżo wykopanym stało dwóch delegatów C. G. T. Gwarzyli, paląc długie, gliniane fajki. Gdy opuszczano trumnę, ksiądz burknął pod nosem „Salve Regina", kropidłem zaznaczył znak krzyża i bez słowa, sprężystym krokiem odszedł. Jeden z Francuzów zakaszlał z lekka i przemówił kilka słów, ciągnął o koleżeństwie, o wspólnocie interesów robotników wszystkich krajów, barwił swoje przemówienie licznymi wyrazami „patois"[10]) Mimo szczerych chęci mało kto rozumiał go, jednak wszyscy słuchali w milczeniu. Słowa delegata nikły tuż za grupą ludzi, dół wykopany pochłaniał je.

Koledzy myśleli o czym innym. Przypominali sobie, swoje pierwsze spotkanie z Sawickim.

— Był to fajny karlus, fundował na „kienzen"[11]) ile się dało. Teraz zaczął przemawiać Gawron. Jąkał się, dobierał słowa, wzruszonym głosem mówił:

— Był to fajny chłopok! a dwóch takich nie widziołym, coby tak się oddawali sprawie! Machoł toporkiem i pikoń, bo musioł i tyle mioł w ryncach co w głowie, powiadom wom! To tak jakby mój chłopok!...

Rozpłakał się, kiwał głowa. Wpadłby do grobu, gdyby go Kosmala nie przytrzymał. Ale porwał się ponownie, odetchnął głęboko i ciągnął dalej:

— Był w Hiszpanii! Dlo nos wojował. Takich ludzi mi żol! — Nie mógł dalej mówić. Schylił się, podniósł grudę czerwonej gliny, opuścił ją do grobu, uderzyła o trumnę z odgłosem podobnym do gradu z deszczem, bijącym o szyby. Każdy po kolei zbliżał się do mogiły i wrzucał garść wilgotnej ziemi.

Kilka minut później, kiedy opuścili cmentarz, opadła mgła. Ludzie szli z targu z pełnymi torbami.

Kosmala wrócił do chałupy. Buczało południe.

(D. c. n.)

---

[1]) Sankcja karna — usunięcie robotnika z pracy na określony czas i pozbawienie go poborów.

[2]) Numer szybu.

[3]) Z franc.: rodzaj wódki.

[4]) Z franc.: korytarz w kopalni.

[5]) Z franc.: główna ulica.

[6]) Z franc.: „coron" — ulica w dzielnicy robotniczej.

[7]) Z franc.: stróż kopalniany.

[8]) Z franc.: boczne siedzenie.

[9]) Małe piwo.

[10]) Franc.: gwara.

[11]) Z franc.: dzień wypłaty (co 15 dni).

ADMINISTRACJA TYGODNIKA „WIEŚ" PRZYPOMINA O UREGULOWANIU PRENUMERATY ZA I PÓŁROCZE BR.

Władysław Błachut

Chłopska emigracja w Ameryce

Pierwszą osadę chłopską na ziemi amerykańskiej założył w Texas w roku 1854 ks. Leopold Moczygemba, który przybył tu na czele 300 chłopów śląskich, poszukujących w Nowym Świecie znośniejszych warunków życia. W ślad za Ślązakami poszły nawet gromady chłopów z Galicji i Królestwa i już w roku 1875 wzmogły żywioł polski na ziemi amerykańskiej do liczby 200 tysięcy osób.

Problem chłopskiej emigracji zarobkowej do Ameryki w całej rozciągłości występuje jednak dopiero pod koniec XIX wieku, kiedy to co roku przeciętnie 100 tysięcy chłopów galicyjskich i królewiaków w pogoni za chlebem opuszcza swoje przeludnione sadyby, tworząc w Ameryce w latach dwudziestych bieżącego stulecia cztero-milionową kolonię polską. Emigrował zasadniczo najbiedniejszy element wiejski, licząc na łatwy zarobek i szybki powrót do Ojczyzny. Niestety warunki, w jakich znaleźli się w Ameryce nasi emigranci, były dalekie od idealnych. Przede wszystkim zamiast do rolnictwa, emigrantów naszych kierowano do pracy w przemyśle, gdzie, jako na niekwalifikowanych, spychano najcięższe roboty. Równocześnie przemysł amerykański szybko wykorzystał koniunkturę na rynku pracy i bez skrupułów obniżył płace naszym robotnikom, zaostrzając przy tym warunki pracy. Przedsiębiorcy amerykańscy traktowali naszych, nieznających języka angielskiego, potulnych i błagających o pracę chłopów na ogół pogardliwie, a towarzysze pracy, widząc w nich konkurencyjną, obniżającą dotychczasowe zarobki warstwę pracowniczą, odnosili się do nich z niechęcią i uprzedzeniem. W tych warunkach — jak pisze Aleksander Świętochowski w swej „Historii chłopów polskich“—...„Poza nielicznymi osobnikami, którym szczęście w grze losu pozwoliło wznieść się wyżej, ogół ciemnych, niezaradnych, wyzyskiwanych, zwalczanych i lekceważonych emigrantów polskich, dźwigał brzemię życia z wielkim wysiłkiem i często pod niem upadał...“

Ludwik Krzywicki zastanawiając się w swojej przedmowie do „Pamiętników Emigrantów“ z roku 1930, czemu przypisać należy szczególny hart i wytrzymałość naszych chłopów w walce z niezwykłymi warunkami życia w Ameryce, taką daje odpowiedź: ...„Oto człowiek wyzwolił się z więzi tradycyjnej, poczętej za poddaństwa i pańszczyzny, wzmocnionej w ciągu niewoli politycznej, a z roku na rok coraz bardziej doskwierającej z winy rozdrobnienia kawałków ziemi, braku zarobków, kiedy wszystko się tak ułożyło dokoła chłopa, iż jak głową muru, tak staraniami swymi nie przebije tej sieci stosunków realnych, a jeszcze bardziej różnych imponderabiliów, nie gorzej od tamtych zagłuszających drzemiący gdzieś w głębi hart ducha...“

EMIGRANCI I PRASA POLSKA O ŻYCIU W AMERYCE

O warunkach pracy i płacy robotnika polskiego w Ameryce dają nam świadectwo fragmenty pamiętników emigranckich oraz głosy polskiej prasy emigracyjnej z tych czasów. Oto co pisze w „Pamiętnikach chłopów“ o swoim pobycie w Ameryce gospodarz z powiatu opatowskiego: ...„Jechałem do Ameryki z myślą o dużym zarobku... Pracę dostałem bardzo łatwo w odlewni żelaza. Pracowałem nocą. Praca była bardzo ciężka, nieraz trza było se i zapłakać z tęsknoty za krajem, **napolć się, nazabiegać i napracować, że kości trudno było wyprostować.** Życie prowadziłem bardzo skąpo. Wychodziło mi dziennie na życie i spanie około 50 centów. Zarabiałem dziennie dwa dolary... Ludzi zaczęło napływać coraz więcej z każdym miesiącem, tak że o pracę stawało się coraz trudniej. W końcu najechało się sporo ludzi z różnych państw, **płacę robotnikom obcięli do jednego dolara dziennie. Nie było nadal wyjścia.** Gdy już nie mogłem nic zarobić, nie wiele się namyślając, zabrałem się i „hajda do Polski...“

Podobny obraz stosunków przebija z pamiętnika chłopa z powiatu jarocińskiego, który bawił w Ameryce przed pierwszą wojną światową: ...„W Skranton dostaliśmy pracę w fabryce żelaza w dziale wylewania roztopionego żelaza z wysokich piecy, czyli gishali. Była to robota nie tylko bardzo ciężka, lecz i w wysokiej temperaturze gorąca z rozżarzonych piecy skwarów nieba upalnego lata. **W tem piekle upalnego gorąca pracowaliśmy po 12 godzin dziennie, a co drugą niedzielę 24 godziny...** Zarobek dzienny wynosił 1 dolar 40 centów, co na niemieckie pieniądze uczyniło 6 marek. W Niemczech za taką pracę płacili osiem marek...“

O ile chodzi o głosy prasy polskiej w Ameryce na temat położenia naszych emigrantów, to na łamach „Gazety polskiej w Chicago“ (w nrze 3 z dnia 21.1. 1897 r.) znajdujemy charakterystyczną odezwę: „...Ostatnie cztery lata dały się boleśnie uczuć narodowi amerykańskiemu a przede wszystkim nam Polakom. **Ileż to ludzi z braku pracy — a więc z braku kawałka chleba odebrało sobie życie?** Smutno o tym wspominać, a jednak tak jest i do dziś dnia jeszcze gorzej odczuwać się daje bieda i niedostatek. Na 150 tysięcy Polaków w Chicago, stanowiących głównie klasę robotniczą, większa część znajduje się do dziś dnia w opłakanym stanie. Ileż to familii w tych ostatnich nieszczęsnych latach cierpi głód i zimno? Prawie większa połowa tutejszego polskiego społeczeństwa nie ma się niczem posilić, czem przyodziać — i często idzie o kiju żebraczym... Nierzadką jest rzeczą napotkać familie, które nieraz o kawałku wyżebranego suchego chleba przepędzają całe dnie i tygodnie — dzieci ich tulą się do zimnego pieca...“

W piśmie polskim p. t. „Ameryka“ (Toledo) w nrze 27 z dnia 4.7. 1891 czytamy: ...„Wyzysk robotników. Z Morevood, Pa, donoszą, że **tamtejsze kompanie koksiarskie, które przyjęły podczas strajku mnóstwo Polaków, starają się ich teraz w najrozmaitszy sposób wyzyskiwać. N. p. przy wypłacie zamiast zarobionych 19 dolarów tygodniowo, dostają po 3, lecz na wierzchu koperty zawsze jest napisana właściwa pełna suma...“!!**

Podobne stosunki utrzymują się też w latach następnych, o czym dowiadujemy się m. in. z tejże samej „Ameryka“ (nr 10 z dnia 6.3. 1897): ...„U nas w South Chicago taka bieda, jak i w całej Ameryce. Fabryki Illinois Steel Co. **rozpoczęły pracę, ale przy zniżonej płacy i tak: robotnikom zwyczajnym obniżono zapłatę o 10 procent, a tym, którzy pracują od tony, od 25 do 50 c. na dolarze. Robotnicy ci muszą nadto więcej teraz „odstawiać roboty niż dawniej, a gdy nie okażą pośpiechu, to na ich miejsce znajdzie się stu zaraz. Pomiędzy Polakami panuje straszna nędza...“**

Również krajowe wydawnictwa emigracyjne, n. p. krakowski „Przewodnik Emigracyjny“ uczciwie zwracają uwagę na niezwykle trudne warunki pracy i wyzysk wychodźców polskich w Ameryce, tworząc specjalne towarzystwa opieki nad emigrantami.

Jeżeli w tych warunkach Polacy nie tylko potrafili się utrzymać na powierzchni życia w Ameryce, ale ze swych skromnych zarobków przysyłać do Królestwa i Galicji około 100 milionów dolarów rocznie, trzeba zapisać to na konto ich niezwykłej wytrzymałości i zdolności przystosowania się do najbardziej niepomyślnych warunków...

*

Śledząc za przejawami życia społecznego i organizacji polskich w Ameryce stwierdzić trzeba, że podstawową komórką społeczną była tam w początkach wyłącznie parafia, wokół której przez długie lata skupiał się i jednoczył żywioł polski w Ameryce.

Tradycja postępowego księdza Moczygemby nie wyszła jednak Polakom na dobre. W latach następnych opiekę nad parafiami polskimi w Ameryce ujęli w swe ręce przeważnie księża o wyrobionym zmyśle do interesów, którzy emigrowali do Ameryki przede wszystkim po to, aby bazując na przywiązaniu do Kościoła i naiwności religijnej swych ziomków, dojść jak najszybciej do wpływów i majątku. Al. Świętochowski, analizując w swojej „Historii chłopów polskich“ stosunki polskie na ziemi amerykańskiej stwierdza: **„kler katolicki jest tam nienasycenie chciwy panowania, usiłuje zagarnąć pod swą komendę wszystkie dziedziny życia, wycisnąć swoją wolę we wszystkie jego objawy, a gdy spotka skądkolwiek sprzeciw lub chociażby tylko niepodległość — atakuje, wichrzy i znieprawia“.**

Naczelny rząd dusz polskich w Ameryce pozostawał jednak w rękach niemieckich, gdyż księża niemieccy piastowali wszystkie wyższe stanowiska kościelne, a w szczególności wszystkie stanowiska biskupów. Patriotycznie nastawieni księża polscy próbowali się buntować przeciwko temu. Nic to jednak nie pomagało. Usiłujący się wyłamać spod jurysdykcji biskupa niemieckiego ks. Dominik Kolasiński z Detroit został uznany za odszczepieńca. Nie powiodło się również ks. Janowi Machnikowskiemu, który w roku 1891 nadaremnie przedkładał w Rzymie Kongregacji de Propaganda Fide całe stosy petycji (około 100 tysięcy podpisów!) katolików polskich, ubiegających się o polskie biskupstwo w Stanach Zjednoczonych!!

Niezwykle pouczające w tym względzie i ciekawe doświadczenia zebrał sam wielebny ks. Wacław Kruszka, który na wiosnę 1903 roku w towarzystwie p. Mahany'ego z upoważnienia wydziału wykonawczego Polsko-Katolickiego Kongresu w Ameryce wyjechał do Rzymu w sprawie utworzenia biskupstwa polskiego w Ameryce. Zaopatrzeni w odpowiednie pełnomocnictwa i dokładną statystykę Polaków w Ameryce, obaj delegaci przedłożyli sprawę w Watykanie kardynałowi Svampie, który po kilku dniach oznjamił im, że przedłożony papieżowi Piusowi X memoriał zrobił na nim dobre wrażenie. Nasi uparci delegaci dostali się również przed oblicze Piusa X, który jednak oznajmił im, że załatwienie sprawy zależy od Św. Kongregacji de Propaganda Fide... W tej sytuacji delegaci Polonii amerykańskiej wybrali się osobiście do biskupów polskich w krajach zaborczych z prośbą o poparcie. Niestety w Rzymie wszystko szło jak po grudzie. Jeden kardynał, członek Świętej Kongregacji, odsyłał ich do drugiego, drugi znowu do papieża, a ten konsekwentnie odsyłał ich znowu do wszechpotężnej Kongregacji... „Szturmem zdobyć ni Watykanu ni Propagandy nie było można... **Trzeba więc było zdobywać te twierdze długim oblężeniem i cierpliwym wyczekiwaniem...** Odwiedzałem tedy w dalszym ciągu kardynałów po raz trzeci i czwarty, po raz piąty, ba nawet po raz 10... **Wszystkich wizyt, jakie złożyłem kardynałom, było mniej więcej 180** — nie licząc w to wizyt złożonych Arcybiskupom, Biskupom, Prałatom itd. Na Matkę Boską Gromniczną wręczyłem Ojcu Św. ozdobną 15 funtową świecę“ — pisze z goryczą ks. Kruszka o swych straconych zachodach rzymskich. Uparte okopy pozostały niezdobyte a wiernym owieczkom w Ameryce pasterzowali nadal biskupi — Niemcy.

*

Na długie lata kler polski w Ameryce uzurpował sobie wyłączność reprezentowania interesów duchownych i świeckich naszych chłopskich emigrantów. Ponieważ w szeregach naszej emigracji zarobkowej, zwłaszcza w okresie do pierwszej wojny światowej, brakowało postępowej inteligencji i demokratycznego kierownictwa, polski ludek z Galicji i Królestwa kroczył potulnie w orszaku katolickiego kleru i w cieniu parafii kształtował swoje życie i swój światopogląd...

Ale wraz z zaostrzaniem się sytuacji gospodarczej w Ameryce, wśród emigracji polskiej wyrastają nowe tendencje społeczne i ideologiczne. Nowe poglądy na świat i życie reprezentuje m. in. wydawana w Toledo pod redakcją A. A. Paryskiego (n. b. bardzo populana w Polsce) „Ameryka“, której de-

Witold Jedlicki

Sprawy religii i polityki*)

Propaganda klerykalna nie od dzisiaj usiłuje społeczeństwu polskiemu narzucić przekonanie, że państwo polskie zawdzięczało całą swoją kulturę i cywilizację, a nawet potęgę polityczną jedynie temu, że rządziło się zasadami katolickimi, w sojuszu z Watykanem, że pozostawało w orbicie szerzonej przez kler kultury katolickiej itp. Fakt powiązania orientacji politycznej Polski z celami Watykanu w przeciągu całej historii okresu przedrozbiorowego miał być przyczyną jakiegoś specjalnego uznania, jakim darzyć miał rzekomo Polskę Watykan. Utarły się nawet bardzo szeroko zaszczytne określenia, nadane przez Watykan Polsce, takie jak „przedmurze chrześcijaństwa“ czy „semper fidelis — zawsze wierna“. Co więcej, uznanie to miało się objawiać — jak nas zapewniała o tym ta propaganda — przez stałe popieranie sprawy polskiej przez Watykan na forum międzynarodowym zarówno w okresie niewoli jak i w czasie ostatniej wojny. Słowem, bezinteresowna miłość Watykanu uszczęśliwiała Polskę w całym okresie jej historycznego rozwoju.

Dobrze się stało, że obecnie polska bibliografia naukowa i publicystyczna rozporządza już wielu pozycjami, w znacznym stopniu przyczyniającymi się do rozwiązania wszelkich złudzeń w tej sprawie. Z pozycji, które ostatnio ukazały się na półkach księgarskich, dużą zasługę w tym dziele odfałszowania historii stosunków polsko - watykańskich posiadają niewątpliwie dwie publikacje: „Wybrane żywoty książąt Kościoła polskiego“ dr Zdzisława Mierzyńskiego oraz „Watykan a Polska“ Stanisława Krasowskiego.

Książka Mierzyńskiego ma na celu głównie obalenie dwóch wpajanych przez propagandę klerykalną przekonań: 1) o dobroczynnym wpływie kulturalnym kleru katolickiego na społeczństwo polskie, 2) o jakiejś wyjątkowej postawie etycznej kleru, która miała rzekomo być wzorcem również dla wszystkich ludzi w Polsce, którzy do stanu kapłańskiego nie należeli. Dla prześledzenia słuszności czy fałszywości tych tez Mierzyński bada okres mniej więcej 150 lat, od panowania Jana Kazimierza do Księstwa Warszawskiego i początków Królestwa Kongresowego. Wybiera ten okres dlatego, że jest on wyjątkowo ciężki dla bytu państwowego Polski. Skądinąd wiemy, że są to czasy wyjątkowo silnych wpływów Watykanu i kleru polskiego na politykę państwową.

Mierzyński wykorzystuje najbardziej bezstronne relacje pamiętnikarzy ówczesnych i wykazuje dowodnie rolę kleru w życiu kulturalnym i obyczajowym Polski w owym czasie. Relacje te rzucają wymowne światło na fakt zainteresowania kleru w utrzymywaniu społeczeństwa polskiego w ciemnocie i zacofaniu po to, aby można było ciągnąć z tego obfite korzyści polityczne, i przede wszystkim finansowe. Wiele stron książki poświęcone jest historii inspirowanych przez kler (a głównie jezuitów) pogromów antysemickich i antyprotestanckich. Na innych stronach opisuje Mierzyński przeszkody, jakie stawiały czynniki klerykalne rozwojowi szkolnictwa, szerząc wiarę w cudowne miejsca i relikwie, strasząc karami piekielnymi, a to wszystko w celu wyłudzenia pieniędzy. W drugiej części książki autor mówi o działalności prymasów, urzędujących w omawianym okresie historycznym. Okazuje się, że olbrzymia większość z nich brała pieniądze od obcych dworów, wyświadczając w zamian rozmaitego charakteru przysługi polityczne. Tak więc Mikołaj Prażmowski bierze pieniądze od Ludwika XIV za popieranie kandydatury Kondeusza na tron polski w r 1668. Michał Radziejowski bierze pieniądze również od Ludwika XIV za popieranie kandydatury ks. de Conti (1696), potem pobrawszy odpowiednią sumę przechodzi do obozu Augusta II. Następne sumy otrzymuje od Piotra Wielkiego za namówienie Augusta II do wojny ze Szwecją oraz od Kurfursta Brandenburskiego za korzystne dla niego załatwienie sporu finansowego z Polską. W końcu zdradza Augusta II na rzecz Leszczyńskiego. Władysław Łubieński wraz ze swoją prawą ręką biskupem Młodziejowskim brał pieniądze od Katarzyny za popieranie kandydatury Stanisława Augusta w r. 1764. Gabriel Podoski był już zwykłym agentem Rosji i z jej inspiracji organizował naprzód konfederację radomską, a później tzw. Radę Patriotyczną. Co więcej, dążył do detronizacji pokłóconego wówczas z Katarzyną Stanisława Augusta. Również płatnym agentem Rosji był następny prymas, Antoni Ostrowski, który dopomógł Repninowi w przeprowadzeniu pierwszego rozbioru. Michał Poniatowski, brat Stanisława Augusta, informował wojska pruskie o stanie sił obronnych podczas oblężenia Warszawy w r. 1794. Wojciech Skarszewski jeszcze jako biskup był konsyliarzem Konfederacji Targowickiej, a następnie jako prymas za czasów Królestwa Kongresowego wiernym sługą Rosji. On to zadenuncjował przed Aleksandrem I za przynależność do masonerii Stanisława Potockiego, zasłużonego, postępowego działacza na polu rozwoju oświaty. Po wyczerpaniu listy prymasów Mierzyński omawia działalność innych przedstawicieli wyższego duchowieństwa. Tutaj autor wymienia biskupów Młodziejowskiego i Massalskiego, odpowiedzialnych za rozkradzenie 3/4 dóbr pojezuickich (na fundusze Komisji Edukacji Narodowej składała się zaledwie 1/4 tych dóbr, której nie zdążono rozkraść). Następnie powieszonych podczas powstania warszawskiego w r 1794 za udział w Konfederacji Targowickiej: Massalskiego oraz Kossakowskiego. Ten ostatni ma na swoim koncie „życzliwe“ rady dla ambasadora rosyjskiego Igelstroema, w jaki sposób ma przeciwdziałać zbrojnie powstaniu w Warszawie.

Całą kolekcję zamyka arcybiskup Bohusz-Siestrzeńcewicz ,agent Katarzyny i Pawła I, który dążył do podporządkowania kleru katolickiego w Polsce caratowi. W wyniku tego przeglądu autor książki dochodzi do wniosku, że o ile wśród niższego duchowieństwa zdarzały się wypadki prawdziwego przywiązania i poświęcenia dla ojczyzny, o tyle szeregi duchowieństwa wyższego przepełnione były zdrajcami, szpiegami państw obcych, złodziejami i łapownikami.

Cały temat potraktowany jest przez Mierzyńskiego spokojnie, z zachowaniem pełnego obiektywizmu historycznego. Słabymi punktami książki są: pewna chaotyczność w rozpracowaniu tematu oraz, co już nie jest winą autora — niechlujne wydanie i fatalna korekta.

Druga z wspomnianych publikacji: „Watykan a Polska“ Stanisława Krasowskiego jest bodaj jeszcze ważniejszą dla pełnego wyświetlenia sprawy „przyjaźni“ Watykanu wobec Polski oraz dobroczynnego wpływu kleru na rządy w Polsce. Krasowski przede wszystkim rozprawia się z legendą o apolityczności Watykanu. Po stwierdzeniu istnienia coraz bardziej jawnej linii politycznej Watykanu Krasowski mówi o obliczu tej linii, obliczu wyraźnie wrogim wobec Polski w całym niemal tysiącletnim okresie wzajemnych stosunków. Krasowski stawia tezę, że Watykan, wykorzystując dziecinną wierność polityków polskich, nie tylko nie próbował „odwdzięczyć się“, ale wprost przeciwnie przy lada okazji poświęcał interesy Polski dla jakichś swoich, „szerszych“ horyzontów politycznych. Krasowski rejestruje te „przysługi“ Watykanu i jego „armii“ dla Polski: odrzucenie przez Zbigniewa Oleśnickiego czeskiej oferty tronu dla Jagiellonów, sprowokowanie nieudanej wyprawy przeciwko Turkom, zakończonej klęską warneńską, sprowokowanie wojny domowej pomiędzy Maksymilianem II a Zygmuntem III (1588), natychmiastowe uznanie rozbiorów i potępienie wszystkich bez wyjątku powstań niepodległościowych. Ale to nie wszystko. Od siebie możemy dodać chociażby niewyjaśnioną do dzisiaj sprawę śmierci Zygmunta Augusta (podniesioną niedawno przez Andrzeja Nowickiego w jednym z ostatnich numerów „Kuźnicy“).

Dla Krasowskiego jednak nie to jest najbardziej interesujące. Krasowskiego interesuje przede wszystkim polityka a nie historia. Krasowski udowadnia, że postępowanie Piusa XII podczas wojny, to już nie nic innego, jak tylko sojusz z Niemcami hitlerowskimi, tak jak obecnie z kapitalistyczną Ameryką— przeciwko międzynarodowym siłom rewolucyjnym. Przyczyny takiego stanu rzeczy są jasne: świadczy o nich bardzo wymownie sporządzone przez Krasowskiego zestawienie obecnego stanu posiadania Watykanu.

Broszurka Krasowskiego kończy się sprecyzowaniem stanowiska narodu polskiego w omawianej sprawie, stanowiska prostego i jasnego: **naród polski nie pozwoli nadużywać religii dla celów wrogiej sobie polityki.**

---

*) Dr Zdzisław Mierzyński, „Wybrane żywoty książąt Kościoła polskiego“, wyd. „Słowo“, 1949 r.

Stanisław Krasowski, „Watykan a Polska“, „Książka i Wiedza“, 1949 r.

wiza brzmi: „Ameryka“ broni prawdziwych zasad religii katolickiej, ale **ostro i stanowczo występuje przeciwko tym, co religię uważają za handel i w imię religii lud prosty oszukują“.**

Walcząc z wyzyskiem robotników przez swoich i obcych, organizując pierwsze klasowe związki branżowe, „Ameryka“ urabia równocześnie światopogląd polskich mas emigracyjnych w duchu umiarkowanego socjalizmu. Niezwykle charakterystyczne uwagi na temat stosunków polskich w Ameryce zawiera m. in artykuł p. t. „Nasz patryotyzm“, zamieszczony w nrze 2 „Ameryki“ z dnia 9.I.1897, który warto na tym miejscu w wyjątkach powtórzyć: ...„Obecnie w chwili ogólnej walki, w chwili ogólnego zamieszania, jakie robi obóz klerykalny — nie od rzeczy będzie wypowiedzieć słów parę, w czym właściwie różni się nasz patryotyzm, patryotyzm obozu postępowego od patryotyzmu klerykałów, którzy uderzając na wszystko co postępowe, chcieliby tym samym wywalczyć sobie monopol na omawianie spraw polskich.

Nie od dawna datuje się ten ich „patryotyzm“. Dopiero w paru ostatnich latach obóz klerykalny, widząc że stać dłużej na gruncie na jakim stał, nie może, powoli zaczął przyswajać sobie obchody narodowe, a ostatecznie dzisiaj stał się tem dla nas Polaków w Ameryce, czem jest dla Galicji, n. p. partya szlacheckich patryotów. **Jak tamci, tak i ci nie wierzą w chłopa — patryotę i podsuwają nam szczególnego rodzaju patryotyzm — swój rzymsko-szlachecko-polski patryotyzm, który jest całkiem inny niż ludowy!**

Jak tamci, tak i ci nie wierzą, aby robotnik polski, organizujący się w unje i należący do międzynarodowych towarzystw, mógł czuć się Polakiem i nazwali go z pogardą mianem anarchisty i masona! A widząc, że ten ruch ludowy, ten ruch uświadamiający chłopa i robotnika polskiego o jego posłannictwie dziejowem coraz szersze przybiera rozmiary, postanowili „ratować“ niedotkniętych jeszcze zarazą „internacjonalizmu“. Zrozumiano, że nadchodzi pora, w której trzeba się zbliżyć do pogardzanego przez uprzywilejowanych ludu — że tylko z pomocą ludu można odbudować Ojczyznę.

I każdy zaczął się po swojemu do tego ludu zbliżać. Galicyjscy patryoci poczęli wpierać w lud, że powinien się zachwycać dotychczasowymi powstaniami. Poczęto go uczyć szlacheckich piosenek, przyodziewać go w czamarki... **Ale o codziennej biedzie chłopa i robotnika, o krwawej ich pracy, nędzy i chorobie, której biedny lud podlega, o tem nie mówiono wcale, bo to nie nazywałoby się patryotyzmem, ale... anarchizmem.** Mówiono nawet wiele o Kościuszce, o kosynierach, o lancach ułańskich, bo tak pojmowali owi panowie „swój“ patryotyzm.

...Daleko idą galicyjscy patryoci, ale **dalej jeszcze idą nasi amerykańscy klerykali, którzy drogę do odbudowania Polski na Rzym obrali, a nadto z tego biednego chłopa wysysają niemal ostatnią kroplę krwi... Marzą o Polsce rządzonej przez panów i Rzym, robotnik polski marzy o Polsce, w którejby nie było panów ani szlachty, w którejby wolny naród miał co jeść, miał oświatę, swobodę i braterską równość. Oni chcą Polski szlacheckiej, robotnik polski chce Polski ludowej...“**

Ze stanowiskiem „Ameryki“ niezwykle ostro polemizuje klerykalny „Dziennik Chicagowski“.

Podobnie ciężką i trudną była walka o światopogląd socjalistyczny w szeregach Polonii amerykańskiej. I na tym odcinku walkę z obozem wstecznictwa i zacofania podejmuje przede wszystkim prasa postępowa, redagowana przez jednostki buntujące się przeciw dyktaturze kleru.

Już w roku 1874 znajdujemy w „Gazecie Nowojorskiej“ z dnia 3 stycznia ciekawy artykuł p. t. „Socjalizm w Ameryce“, gdzie anonimowy autor pisze: ...„I tu istnieje klasa kapitalistów, niemniej zręczna w wyzyskiwaniu mas i panosząca się swymi milionami jak w Europie... **Niedbalstwo nasze w staraniu się o prawa obywatelskie i brak organizacji zmniejszają nasz wpływ na prawodawstwo...** Któż nam zabrania głosować solidarnie za ludźmi, których skrajne zasady dałyby rękojmię, iż poruszą wszystkie sprężyny państwa, ku polepszeniu bytu naszego... Czyż nam wzbroniona propaganda idei choćby komunistycznej?...

...Jeżeli który z nas potępia stosunki socyalne, niech mówi i pisze, i wynosi pod niebo komunizm, nie wtedy tylko, gdy pracy pragnie, ale stale i zawsze. Jeżeli zasady jego słuszne, to dzieci i wnuki ujrzą ich wprowadzenie w prawa państwa...“

Walka była jednak ciężką, gdyż kler był chytry i bogaty. Zmiana na tym odcinku przyszła po latach, w drugim a nawet trzecim pokoleniu Polaków amerykańskich, kiedy zwycięskie na gruncie europejskim idee postępu zaczęły sobie torować drogę wśród polskiego proletariatu w Ameryce.

Władysław Blachut

FAKTY i ZDANIA

Robotniczo-chłopski sojusz kulturalny

W naszej gminie — w Wietrzychowicach zostanie niedługo uruchomiony Gminny Ośrodek Maszynowy. Ośrodkiem będzie się opiekowała załoga fabryki celulozy z Niedomic.

Załoga fabryki z Niedomic przystąpiła już do pracy. W dniu 29 maja, w niedzielę przyjechał do Wietrzychowic po raz pierwszy zespół teatralny z fabryki niedomickiej. Pierwszy ten występ był raczej zebraniem organizacyjnym, na którym dyrektor fabryki i przewodniczący Rady Zakładowej zapoznali ludność naszej gminy z zamierzoną działalnością gospodarczą i kulturalną ekipy teatralnej fabryki niedomickiej na terenie gminy Wietrzychowice. Po krótkim przemówieniu dyrektora i przewodniczącego Rady Zakładowej, którzy zapoznali chłopów z pracą fabryki i jej rozbudową — zespół teatralny zaprezentował swój program. Zespół odśpiewał kilka efektownych bardzo wdzięcznych piosenek, które swoją prostotą, i piękną harmonią zachwyciły wszystkich. Następnie zespół wykonał kilka deklamacji, które ogólnie podobały się. Szczególnie Władysława Broniewskiego „Elegia o śmierci Ludwika Waryńskiego“.

Zespół swoim pierwszym występem potrafił sobie zjednać wszystkich, wzbudzić ogólną sympatię i zadowolenie. Ja zaś, jako obserwator pozwolę sobie wyciągnąć z tego kilka wniosków:

1. Sądzę, że sojusz robotniczo-chłopski będzie stale pogłębiany drogą nie tylko współpracy gospodarczej, ale również i kulturalnej. Dlatego też uważam, że praca zespołów robotniczych (kulturalnych) jest pożyteczna, że przez bliski kontakt robotnika z chłopem, szczególnie małorolnym i średniorolnym, zacieśnia się węzeł przyjaźni, dochodzi do wzajemnego zrozumienia zadań i celów oraz roli w społeczeństwie i w Polsce.

2. Wieś jest dobrym, wdzięcznym konsumentem kultury i literatury, trzeba tylko umieć należycie ją chłopu podać. Do serca chłopskiego trafiają szczególnie utwory rewolucyjne, proste, nieprzeładowane zbyt trudnymi przenośniami i formalizmem, w ogóle utwory związane ze słuszną walką proletariatu z burżuazją (przykład — deklamacja wiersza W. Broniewskiego wzbudziła ogólne zadowolenie, a nawet zachwyt).

3. Wieś powoli zaczyna rozumieć, że obok pracy w polu nie mniejsze korzyści przynosi dobre przedstawienie, powieść, wiersz piękny i prosty, dobrze odśpiewana, czy zagrana piosenka. **Nowak Tadeusz**

Ksiądz bokser

W pewnej parafii diecezji częstochowskiej proboszczem jest godny uwagi ksiądz. Zasługuje on na uwagę z następujących kilku przyczyn:

1. Posiada 10 ha dobrej ziemi, bardzo ładne murowane zabudowania, kilka krów i dobrego konia.

2. Do niedawna miał dwie służące: jedną ładną, która w polu ani w gospodarstwie nic nie robiła i drugą starszą i brzydszą, która znów musiała sama prowadzić gospodarstwo i wykonuje większość prac w polu.

3. Jeszcze kilka miesięcy wstecz miał także i służącego, któremu przez dwa lata płacił zaledwie po tysiącu złotych miesięcznie. Gdy zaś ów chłopiec wyszedł w niedzielę po południu na spacer, wtedy proboszcz wybiegał za nim z laską i bijąc go mocno gdzie popadło, wpędzał na plebanię. Po dwóch latach niełatwego życia chłopiec ten porzucił służbę. Na nieszczęście jednak w jakiś czas potem umarł mu ojciec mieszkający w tej samej parafii. Wtedy duszpasterz zażądał od byłego służącego za pochowanie zwłok ojca 10 tysięcy złotych.

4. Gdy przyszła do proboszcza jego matka, schorowana staruszka, która dawała pieniądze na jego wykształcenie — wtedy ksiądz — synalek kazał jej paść krowy.

5. Gdy jakiś nieostrożny żebrak przekroczy bramę zabudowań gospodarskich księdza, wtedy ksiądz niemieckim zwyczajem puszcza nań olbrzymie psy, które nieraz kaleczą przybyłego.

6. Największą jednak uciechą, uprawianą przez proboszcza, jest bitka. Wysoki, dobrze zbudowany i otyły ksiądz jest nie tyle duszpasterzem parafian, ile ich postrachem. Niejeden już parafianin dostał po plecach laską. Sprawa ta jest jeszcze ciekawa o tyle, że księżunio nie oszczędza także kobiet. Toteż gdy jakaś kobieta wypowie choć jedno niedobre słowo pod adresem księdza, nie może już bez opieki męskiej wychodzić na wieś, boby została obita przez księdza. Parafianie chcieliby, aby władze kościelne usunęły z parafii wojowniczego zabijakę i dały w jego miejsce sługę Bożego skromnego i pracowitego jak cieśla z Nazaretu. **Gustaw Tomala**

Puklerz zdrajców

„Pamiętajcie, że we wrogu (Niemcach) należy uszanować żołnierza. Pamiętajcie także o tym, że wojska niemieckie przynajmniej przez czas pewien będą puklerzem broniącym nasze rodziny...“

Cytat powyższy przytoczono z książki p. t. „Powstanie warszawskie“, wydanej w Rzymie przez „Oddział Kultury i Prasy“ II Korpusu Andersa. W ten sposób „pocieszali“ oficerowie ze sztabu Bora żołnierzy AK po kapitulacji powstania.

Proces Doboszyńskiego odsłonił najciemniejsze strony polskiej reakcji. Teraz już wiadomo, że pomiędzy władzami Delegatury i dowództwem AK a Niemcami istniało porozumienie nie tylko w sprawach samego powstania...

I dlatego ta „pocieszająca“ lektura „Oddziału Kultury i Prasy“ Andersa — przestaje już nawet dziwić. Więcej, sama w sobie zawiera już wyrok na tych, którzy jak Doboszyński, za niemieckim puklerzem szukali schronienia... z

Zaczarowane koło

Przed niedawnym czasem organ big-businessa amerykańskiego „United States News and World Raports“ — ogłosił artykuł, w którym w sposób dość niedwuznaczny stwierdza, że polityka Stanów Zjednoczonych zakłóca sytuację gospodarczą krajów zachodnio - europejskich. Pismo zaznacza między innymi, że „handel pomiędzy USA i pozostałymi krajami coraz bardziej odchyla się od równowagi. Ten rozwój sytuacji należy przypisać okoliczności, że jakkolwiek Stany Zjednoczone stały się wierzycielem większości państw świata, to te ostatnie nie są w stanie pokryć swych zobowiązań w dostawach towarowych do USA. Stany Zjednoczone bowiem zamykają swe granice przed importem towarowym, gdyż na skutek obniżenia się siły nabywczej ludności nie mogą one własnych produktów sprzedać na rynku wewnętrznym. Kraje — dłużnicy nie mogą również spłacić swych zobowiązań dolarami, gdyż cierpią na ich dotkliwy brak. A nie mogą ich wyzyskać, gdyż USA zamknęły swój rynek dla importu towarów zagranicznych. To zaczarowane koło istnieje zarówno w stosunkach gospodarczych Stanów Zjednoczonych z Wielką Brytanią, jak i z Francją, Włochami, Kanadą, Argentyną, Holandią i wielu innymi krajami“.

Pismo dowodzi, w konkluzji, że kraje zachodnio-europejskie powinny zdewaluować swoje waluty, w tym celu, by ich produkty stały się tańsze dla amerykańskiego konsumenta.

Do czegóż to jednak doprowadzi? Od dawna mówi się już w krajach marshallowskich, że dewaluacja nie tylko nie poprawi sytuacji gospodarczej tych krajów — ale przyczyni się jedynie do wzbogacenia Stanów Zjednoczonych. **K. S.**

Znamienna dyskusja

Na łamach angielskiego „Times'a“, „Economist“, „Manchester Guardian“ i in. pism toczy się od pewnego czasu znamienna dyskusja. Politycy i dziennikarze angielscy zastanawiają się mianowicie nad zagadnieniem dewaluacji funta szterlinga.

Problem sprowadza się do pytania... co wcześniej trzeba zdewaluować i co wcześniej będzie zdewaluowane: angielski funt czy amerykański dolar?

Na razie przewagę mają przeciwnicy dewaluacji funta. Twierdzą oni, że na skutek dewaluacji Anglia będzie musiała drożej płacić za towary pochodzenia zagranicznego, że tym samym dewaluacja spowoduje wzrost drożyzny... i pogorszenie warunków życiowych „szarego człowieka“, więcej, „zachwieje prestiż angielski w świecie“...

Obrońców „godności i honoru“ Wielkiej Brytanii znaleźć można zarówno wśród labourzystów jak i konserwatystów. Tylko... zwolennicy dewaluacji, jak i jej przeciwnicy naprawdę liczą się z losem „szarego człowieka“?

I czy nie jest znamienna dla dzisiejszej sytuacji gospodarczo - politycznej Anglii dyskusja nad dewaluacją funta (i... dolara!)? z

Gotowi!

Kanclerz rządu austriackiego Veigl w wywiadzie udzielonym korespondentowi Reutera stwierdza, jakie zadania rząd austriacki uważa za najważniejsze. Otóż najżywiej będzie go interesowało, aby Austria już od pierwszego września br. mogła mieć... własną armię, która byłaby „zdolna do akcji“ od momentu, gdy wojska okupacyjne opuszczą kraj. Przecieramy oczy, zapytując się, do jakiej „akcji“ tak gwałtownie chce się przygotować armię? Sprawa zaczyna się wyjaśniać, gdy dowiadujemy się, że armia ta ma powstać z połączenia policji z nowoutworzonymi jednostkami wojskowymi. Korpus oficerski dla tej armii szkoli się już od dawna w strefie zachodniej Austrii. W nierzadkich wypadkach instruktorami są tam znani oficerowie hitlerowscy. Nowoutworzone formacje będą zaopatrzone w lekką broń pochodzenia amerykańskiego. Źródło inspiracji jest tu więc jasne. Tłumaczy się również potrzeba „gotowości“ na dzień 1 września, ponieważ we wrześniu mają odbyć się powszechne wybory. Armię skieruje się więc przeciwko... własnej klasie robotniczej, aby komuniści nie „podnieśli głowy“.

W Stanach Zjednoczonych, gdzie jest już 5 milionów bezrobotnych a 9 częściowo bezrobotnych, gdzie około 5 milionów ludności mieszka w norach i rozwalających się budynkach, cała pomysłowość rządu USA wyraża się w formułowaniu ustaw przeciwko ludziom, którzy by się ośmielili krytykować panujące stosunki. W Austrii ta sama ręka, która prowadzi proces przeciwko 12 przywódcom komunistów w USA, będzie pomagała do sformowania armii, której pierwszym zadaniem bojowym będzie uniemożliwienie komunistom „podniesienia głowy“.

Byłoby chyba słuszniej, gdyby kanclerz Veigl nazwał przyszłą armię w sposób właściwy, jako zaciąg Harrimana, który naród austriacki ma utrzymać w posłuszeństwie dla Wall-Street. **K. B.**

W kraju wolności

W Ameryce, jak wiadomo, toczy się proces przeciwko przywódcom Amerykańskiej Partii Komunistycznej. Proces ten jest wyraźną prowokacją ze strony rządu i monopolistycznych kół amerykańskich. Oskarżeni spotykają się z różnorodnymi szykanami — przede wszystkim z tego względu, że sąd nie może udowodnić im żadnej winy.

Ostatnio z szykanami spotkał się także obrońca oskarżonych przywódców komunistycznych, Richard Gladstein. Otrzymał on anonimowe ostrzeżenie, że grozi mu śmierć, jeśli nie zrzeknie się obrony. Podobne ostrzeżenie otrzymała również żona Gladsteina.

Metody amerykańskiej „demokracji imperialistów“ są zupełnie niewybredne i trudno w istocie rzeczy stwierdzić, czym i na ile różni się postępowanie amerykańskiej reakcji od hitleryzmu. **S. M.**

Metoda, poręka i zysk

„Ostatni środek—to zastosowanie maszyny elektrycznej. Przewodniki przykłada się do ucha i do ręki i maszyna zaczyna pracować bez przerwy... Twarze jeńców wykrzywiają się z bólu... Po wywarciu na jeńcu dostatecznego nacisku wyprowadzają go pod konwojem i powinien on pokazać mieszkania ludzi, współpracujących z partyzantami. ...Ludzi tych następnie aresztują, a domy ich palą. Jeńca, który zdradził swoich, zabijają następnie skrycie strzałem w potylicę. Meldunki straży głoszą: jeniec został zabity przy próbie ucieczki“.

Wspomnienia konfidenta Gestapo? Skądże! Cytujemy list żołnierza holenderskiego z terenu walki w Indonezji. W walce z wolnością posługuje się kolonialna armia holenderska hitlerowskimi metodami. Polityczny sens walki z Indonezyjczykami i jej metody wywołują obrzydzenie wśród ludności Holandii. Mimo wyraźnego rozkazu marsz. Montgomery'ego Holendrzy nie zdradzają ochoty do wstępowania do wojska kolonialnego. Nie pomogły ani prośby ani groźby. Ministerstwo Spraw Wojskowych doniosło ze smutkiem, że zwerbowało jak dotąd zaledwie 7.000 osób. Naród nie zdradza najmniejszego zainteresowania dla, akcji „kolonizowania“ Indonezji. Rząd holenderski kłania się więc nisko Anglii prosząc o pomoc w walce z Indonezyjczykami. Anglia z kolei kłania się nisko Departamentowi Stanu U.S.A.

W rezultacie owej brutalnej wojny przeciw wolności zyski na czysto gromadzą Amerykanie. Kapitały Wall-Street przewyższają dwukrotnie brytyjskie, 2,5-krotnie holenderskie, zaangażowane w Indonezji.

Tak to przy użyciu hitlerowskich metod, żołnierza holenderskiego i brytyjskiej poręki — gromadzi zyski amerykański kapitał. Kapitał działa gorączkowo, śpieszy się i ogląda trwożliwie, bowiem od strony Chin Ludowych nadciąga wolność. **P. P.**

Włochy sprzedawane na wyrost

We Włoszech prowadzi się od dłuższego czasu poszukiwania źródeł naftowych w obwodach Piacenzy, Parmy, Lasommaggiore i Montechino. Nafty jeszcze nie wydobyto— ale Stany Zjednoczone chcą ją już wykupić. Wall-Street wysłał do Rzymu cały szereg „ekspertów“, którzy przeprowadzają rozmowy z przedstawicielami rządu włoskiego. A de Gasperi wdzięczny Amerykanom za „zwycięstwo“ w ostatnich wyborach do parlamentu idzie swym zza oceanu, niczym przyjaciołom, jak najbardziej na rękę. **r.**

Wyjaśnienie

Wybór przekładów dziewiętnastowiecznych z Puszkina oraz wierszy o Puszkinie w N-rze 22 (201) „Wsi“ został dokonany na podstawie źródłowej pracy Mariana Toporowskiego p. t. „Puszkin w polskiej krytyce i w przekładach. Zarys bibliograficzno-literacki“. Praca wybitnego puszkinologa polskiego przytacza szereg nie zachowanych do dziś tekstów literackich. REDAKCJA

Redaktor naczelny - JAN ALEKSANDER KRÓL.
Redaguje Komitet.
Adres Redakcji i Administracji: Łódź, ul. Piotrkowska Nr 133, telefon 100-98
Wydawca: ZARZĄD GŁÓWNY ZWIĄZKU SAMOPOMOCY CHŁOSKIEJ.
REDAKCJA RĘKOPISÓW NIE ZWRACA.
Ogłoszenia przyjmuje Administracja — Łódź, Piotrkowska 133, telefon 100-98
Warunki prenumeraty:
miesięcznie 80.— zł; kwartalnie 240 — zł, półrocznie 480 — zł; rocznie 960.— zł
Należność za prenumeratę należy wpłacać na konto PKO ŁÓDŹ VII—1080
Drukarnia Nr 4 Sp. Wydawniczo-Oświatowej „Czytelnik“ — Łódź, ul. Żwirki 2
D-01582